

Vicki Baum

Letnia opowieść

## Rozdział 1

Gdy Hell wysiadł z pociągu, deszcz właśnie ustawał. Przedtem za zapłakanymi oknami wagonu ciągnął się krajobraz posiekany siatką deszczu, a szczyty gór tkwiły w obłokach z wilgotnej waty. Teraz zaś, gdy Hell mijał ociekające wodą pędy dzikiego wina, które zdobiły budynek stacyjny - srebrny brzask jakby przesycił ołowianą szarość i nieśmiałe, trwożliwe słońce zaczęło się przedzierać przez chmury i mgłę. Pachniało wilgocią, smołą, palonym drewnem, wonią topniejącego śniegu. Hell uśmiechnął się z zadowoleniem. Założył wielki palec prawej ręki za ramię plecaka, lewą przycisnął do siebie tekturowe pudło o dość skromnym wyglądzie i wyszedł poza obręb stacji.

- Może panu coś zanieść? - zagadnął go mały chłopak, grzęznąc bosymi stopami w rozmiękłych koleinach szosy.

Hell przystanął, bo nigdy nie potrafił przechodzić obok dzieci obojętnie.

- Chciałbyś coś zarobić? - spytał. - Widzisz, ja także. Nie mam nie, nic ci nie mogę dać... Ale poczekaj - dorzucił widząc, że mały już ucieka, i poszperał w kieszeni. - Znaczków nie zbierasz, prawda? A szkoda. Ale może mi powiesz, którądy się idzie do kąpieliska?

- Ja pana poprowadzę - zaofiarował się malec.

Hell wcisnął między kolana tekturowe pudło, wydobył z kieszeni kawałek czekolady, wytarł go rękawem i podał chłopcu.

- Ofiaruję ci to - oświadczył uroczyście.

Mały bez zastanowienia wpakował czekoladę do ust. Hell przyglądał się temu z zainteresowaniem, niemal z zazdrością. Potem obaj ruszyli w drogę - malec szedł o krok za Hellem, starając się stąpać po śladach, jakie zostawiały brązowe półbuty mężczyzny na rozmoczonej deszczem drodze. Hell,

odczuwał pewną satysfakcję, stąpając wielkimi krokami, chlupiąc podszewkami po błocie, deptając twarde korzenie w lasku jodłowym i szurgając po żwirze na promenadzie. Ho, ho, te nowe buty, to nie bagatela, wydał na nie ostatnie pieniądze!

Podniósł głowę i z lubością wdychał ostre powietrze. Naraz dwa zasłaniające krajobraz kasztanowce rozstąpiły się i Hell ujrzał przed sobą wielkie, stalowoszare jezioro. Rozbijało z pluskiem drobne fale o tamę nadbrzeżnych bulwarów. Pomosty kołysały się na łańcuchach, wiatr od wody przesunął się po jasnych włosach Hella jak wilgotna dłoń. Hell, który zwykł chodzić z gołą głową, po trosze dla zasady, a po trosze dlatego, że nie miał kapelusza, uśmiechnął się. Radosna bliskość wody przeniknęła go dreszczem świeżości.

- Nie ma łodzi na wodzie? - spytał zdziwiony.

- Marna pogoda, ludzie boją się - odparł chłopiec. - Nasze jezioro to takie niby gładkie, a tu burza może złapać, że ani rusz wiosłować...

Hell gwizdnął.

- A kapać się nie boją? - spytał ironicznie, patrząc z góry na malca.

- E, gdzie tam się teraz będą kapać - parsknął chłopak. - Za zimno!

Hell położył się na brzuchu, pochylił i zanurzył dłoń w wodzie. Ukąsiła go zimnem w koniuszki palców - obca woda, do której spływają strumienie lodowców. Hell zacisnął zęby.

Leżał tak, przywalony ciężarem plecaka, niczym żółw, a tymczasem ludzie zaczęli zbierać się na bulwarze. Dwie pary nóg okrążyły leżącego Hella - jedna męskich, druga damskich - obie były obute w eleganckie giemzowe obuwie, ściśnięte w kostce zrolowanymi skarpetkami. Hell, który z tej perspektywy nie mógł zauważyć niczego więcej ponad

dziewczęce łydki i zgrabne kolana ukryte pod sportową sukienką, usłyszał nad sobą niski, na wpół chłopięcy głos:

- Ja na przykład wolę gorzką.

Głos ten wydał mu się dziwnie pociągający.

- To jedna z tych - szepnął zagadkowo malec imieniem Maks i wskazał brudnym palcem za siebie.

Hell zerwał się i spojrzał w tę stronę: tamtych dwoje ludzi stało i przyglądało się przybyszowi.

W czystym, klarownym powietrzu głosy dobiegały wyraźnie:

- Jaki to ładny chłopiec - powiedział pan, patrząc na Hella.

- Musimy go złowić na turniej tenisowy - odpowiedziała dziewczyna.

Hell szedł przed siebie zagniewany. Mało go to obchodziło, że był ładny, nie życzył sobie, by obcy pan w pasiastym pulowerze taksował go niczym niewolnika. Poza tym w ciągu tych kilku minut jego własne, nowe, drogie buty przestały go cieszyć, choć w kwestii stroju postanowił być oryginalny. W tekturowym pudle niósł białą koszulę, trykot kąpielowy i czterokilogramową piłkę gimnastyczną. Na sobie miał flanelową koszulę i sportowe ubranie. I już. Koniec. Miał kiedyś smoking, a jakże! Tylko że teraz mole go jedzą w Wiedniu, w lombardzie. To jeszcze człowieka nie deklasuje.

Hell zagwizdał dla dodania sobie otuchy. Ukośne pasmo deszczu zamknęło widnokrąg, początkowo odcięło stoki gór na przeciwległym brzegu, potem zatańczyło białymi bąbelkami na wodzie, wreszcie prysnęło kroplami na wargi Hella. Ławki na promenadzie opustoszały, pod dachem werandy siedziało kilku opatulonych w wełniane lub nieprzemakalne płaszcze letników. Wszyscy wyglądali tak, jakby przemarzli do szpiku kości.

Na wodzie kołysało się około dwudziestu łodzi. Nagle niebo zasunęła ciężka prawie czarna chmura i lunął deszcz na stoki drugiej góry, porośniętej u podnóża kędzierzawym lasem. Po chwili zza chmur wyjrzał czysty błękit i odbił się w tafli jeziora.

Przy tym pierwszym uśmiechu zza chmur zdawało się Hellowi, że czyjeś złotobrazowe oczy wpatrują się w niego uparcie. Było to tak, jak gdyby te oczy znajdowały się gdzieś w głębi jego własnych szarych oczu i patrzyły na niego zarazem od wewnątrz i od zewnątrz. Hell nie przeżywał dotąd niczego podobnego, choć miał prawie dwadzieścia sześć lat! To uczucie, aczkolwiek nic pozbawione pewnej bolesnej słodyczy, niepokoiło go. Nie zdawał sobie zresztą sprawy, czy widział już kiedyś te oczy. Podniósł lewą brew i myślał z napięciem. Aha, przypomniał sobie...

Ja na przykład wolę gorzką...

Hell przeciął powietrze mokrą od deszczu ręką i zaśmiał się rozradowany. W ustach miał pełno wody. Pomyślał o goryczy, którą i on lubił: o gorzkiej czekoladzie. I o kawie, kawie z kawałkiem smacznej babki. O dobrze uwędzonym boczku. Tak, o boczku myślał dłużej i z wielkim apetytem. W powietrzu mieszały się zapachy potraw, urojone i prawdziwe, dochodzące od strony hoteli i pensjonatów.

Przed barometrem tłoczyli się ludzie, beznadziejnie uderzali palcami po szybce. Błękit nieba znów zasnuły chmury. Przeciwległy brzeg porośnięty sitowiem jakby przybliżył się w czystym powietrzu - widać było pomiędzy drzewami małe jak zabaweczki wille. Promenada kończyła się placem, na którym stały białe domki. Na wąskim cyplu nad jeziorem wznosił się hotel. Z otwartych okien buchała wielkowiejska, kawiarniana muzyka.

- To plac - objaśniał malec, o którym Hell najzupełniej zapomniał, a który czuł się widocznie zobowiązany do

wiernego towarzyszenia mu za cenę otrzymanej czekoladki. - Plac. Hotel. Mały Petermann. Wielki Petermann. Plac tenisowy.

Plac tenisowy znajdował się tuż nad jeziorem, woda sięgała aż po siatkę ogrodzenia. Hell pokręcił głową.

- Jaką pogodę macie tutaj zazwyczaj? - zapytał, patrząc z wyrzutem na niebo.

- Przeważnie leje - odparł lakonicznie Maks.

W tej samej chwili z hotelu Petermanna wyszła dziewczyna, stanęła na schodkach z czerwonego piaskowca i spojrzała w niebo. Była to ta sama dziewczyna, która „wolała to, co gorzkie”, a przed kwadransem szła po promenadzie w innym kierunku w towarzystwie aroganckiego jegomościa w pulowerze.

Hell przystanął, poczuł, że robi mu się gorąco. Uszy napłynęły mu krwią.

Kształna, wysoka figura wcale jednak nie była tak pełna wdzięku, jak myślał. Tylko oczy brązowe tak bardzo, jak to pamiętał, patrzyły na niego otwarcie i ze zdziwieniem. Ale nie miały topazowych blasków.

Hell westchnął.

Dziewczyna odwróciła się, zeszła po stopniach, poszła w kierunku placu. Tam czekało na nią auto - a w aucie stary, podtatusiały pan.

Długa podróż, świeże górskie powietrze, wielki głód po dwudziestu dwóch godzinach postu dały się Hellowi we znaki - zamroczyło go na chwilę, dziwna słabość zatętniła mu w skroniach. Ale postanowił się nie dać. Pogwizdując marsza, trzymał się, szedł dalej. Wreszcie mignęła czerwona chorągiewka nad zakładem kąpielowym pana Birndla.

W ten oto sposób Urban Hell znalazł pracę niezbyt intratną, gdyż lato było deszczowe, ale za to zapewniającą

sympatię pięknych kuracjuszek - został nauczycielem pływania.

## Rozdział 2

Hell leżał na wodzie, płasko rozpostarty i lekki jak wiór i płynął powolnym cztero taktowym crawl'em. Ramiona równomiernie rozgarniały wodę, a elastyczne uderzenia nóg popychały mężczyznę naprzód, zostawiając za nim pianistą smugę. W oczach, w uszach, w śluzówce nosa czuł zwykłe, przyjemne mrowienie. Powietrze było o wiele cieplejsze niż woda, jakby czymś naładowane. Nie ochłodziło się, nie drgnęło nawet wtedy, gdy ulewa grubych kropli plusnęła z ciężkiej chmury, tylko jezioro rozhuštało się bardziej i stawiało ramionom silniejszy opór.

Jezioro było zimne i głębokie. Gdy Hell otwierał oczy pod wodą, widział nie zwykłą szarą zieloność, lecz nieznaną, bezdenną czerń, przez którą przemykały się tu i ówdzie zdumiewająco wielkie ryby. Chłód stawał się coraz bardziej przenikliwy, zwłaszcza pośrodku zbiornika, gdzie zlewały się strumienie lodowcowe - skuwał jak obręczą biodra pływaka, utrudniał mu oddychanie. W pięty i w palce od nóg coraz mocniej wgryzała się lodowata mroźność, aż prawie zeszywniał. Hell poczuł się znużony.

Brzeg jeziora był stosunkowo blisko - można było z tej odległości rozróżnić te zachęcające i komfortowe detale, którym „Grand Hotel” Petermanna ulokowany na wysuniętym cyplu zawdzięczał swe dobre imię. W ogrodzie kelnerzy w białych fartuchach składali czerwone parasole i wnosili je do wnętrza gmachu. To znak, że zapowiadał się dłuższy deszcz. Z bocznego skrzydła, gdzie mieściła się kawiarnia, dobiegały sentymentalne dźwięki saksofonu. Na placu tenisowym i na plaży nie było żywej duszy, na jeziorze zaś tylko jedna łódź, rozhuštana chwiejnie i kręcąca się z pozorami bezcelowości. Hell rozpoznał ją od razu - była to stara łódź ratunkowa, prowadzona przez małego Maksa.



Hell podniósł rękę i zanucił pieśń góralską. Odpowiedź na ten sygnał mógł co najwyżej przeczuć, gdyż wiatr dał właśnie w przeciwną stronę. Hell widział malca, jak wylewa wodę z dna łodzi i jak tuli do piersi stoper. Fale naskakiwały Hellowi na głowę, a tamten brzeg, cel jego wysiłków, wciąż jeszcze był daleko, osłonięty mglistym oparem.

Hell przez chwilę pomyślał, czy by nie zawrócić. Ale porzucił ten pomysł i znów popłynął naprzód. Nie mógł utrzymać tempa, bo fale były coraz wyższe, spychały go to w górę, to w dół, utrudniały oddychanie.

Naraz znalazł się na spokojnej, czarnej wodzie rozpościerającej się jak wielka plama oliwy wśród wzburzonego jeziora. Doświadczeni okoliczni mieszkańcy uznaliby niechybnie jej pojawienie się za oznakę nadchodzącej burzy.

Hell płynął jeszcze około dziesięciu minut, aż znów poczuł się znużony i dalej już nie mógł. Zdawało mu się, że przedziera się nic przez wodę, lecz przez ciągnącą się, kleistą masę, przez jakąś lodowatą lawę, palącą i ziębiącą na przemian. Wyciągnął rękę z wody i zaczął się jej przyglądać. Była jakby obca - zeszywniała i gorąca z wysiłku. Na opalonej skórze perliła się woda, jak pot. Jezioro zmieniło się - stało się pasmem spienionych wzniesień i wirujących zapadlin wodnych. Niebo zawisło nisko - głębokie, żółte, obce za kłębem czarnych chmur; czarnych z metalicznym obrzeżeniem. Brzegów już nie było widać.

Przez chwilę leżał na plecach i pozwolił się unosić prądowi. Ale to nie było jak w rzece lub w morzu, gdzie sam prąd znajduje cel i kierunek. Jezioro oszalało, podrzucane spazmami. Bawiło się Hellem jak piłką i Hell raczej instynktownie niż świadomie odpierał miotające nim uderzenia.

Przez chwilę myślał o małym Maksie: czy też ten dzieciak da sobie radę w tej balii, czy potrafi zawrócić? A potem, przez długą chwilę nie myślał o niczym, bo został bez tchu. Nagle, w ciągu jednej sekundy, zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Zaklął i próbował przewrócić się na bok.

I znów popłynął. Serce łomotało o żebra, dyszał ciężko, czuł, jak siły go opuszczają. Trwało to dość długo. Odpychał wodę rękoma, jak wroga. Krzyczał, choć to nie miało sensu. Ale musiał z siebie wyrzucić wściekłość i poczucie słabości. A gdy już zupełnie stracił kierunek, jezioro zaczęło ustępować. Być może, że wirował w kółko na tym przeklętym Frauensee. Położył się na wznak i udawał trupa, jak w klubie przy ćwiczeniach z ratownictwa. Nawet zamknął oczy, ulegając bezsilności.

Zdawało mu się, że śpi podczas huśtania po wodnych zwałach. Najpierw stracił przytomność. Dziwna rzecz - ujrzał nad sobą wielką gwiazdę, świecącą na czystym wieczornym firmamencie. A potem woda zalała mu oczy. Sprężył się w sobie, naciągnął własną wolę jak linę - i wtedy oprzytomniał.

Nagle jakieś nieprawdopodobne światło zaczęło się ślizgać i skakać po wodzie. Hell spróbował dać sygnał przy pomocy owej nuty góralskiej, którą się zazwyczaj porozumiewał z mieszkańcami Frauensee. Ale szczęki i wargi miał tak mocno zaciśnięte, że nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Psiakość! Ręce opadły mu bezwładnie, tylko jeszcze nogi pracowały właściwym rytmem. I znów fala zalała mu głowę. Czuł, że się dusi, To była latarnia, kołysząca się nad wodą, przyczepiona do burty czółna. Hell wyciągnął rękę. Zaczepił o drewniany brzeg łodzi - burta, ster, kil.

Jakiś głos wołał wśród szumu wody:

- Właż! Trzymaj się! Wyciągnę cię! Tylko nie za burte!...  
Możesz jeszcze?...

W ciemności pojawił się krąg światła. Hell ujrzał dokładnie wodę, pełną białych pian i błakający się odblask latarki. A potem - czyjąś rękę - ogromną wskutek bliskości - czyjeś oczy pod ociekającą kapuzą. Reszła - to była ciemność i łoskot fal.

Wstąpiła w niego dziwna siła i upór. Wciągnął głęboko powietrze - jakoś to poszło. Wyszkolony wskutek treningu i zawodów instynkt zadziałał.

- Jak daleko jeszcze?

Słowa wydobyły się niewyraźnie ze ściśniętych ust, jak słowa pijanego. Ale mimo to go zrozumieli.

- Jeszcze trzydzieści metrów! - odrzekł ktoś znad latarki.

- Dopłynę! - wysapał Hell i dał nurka pod wodę. Fale stawiały mu coraz słabszy opór.

- Nic się nie bój, chłopcze!

Ten głos wydawał mu się zarazem zabawny i uspokajający.

I tak się nie boję - pomyślał znów pełen sportowej ambicji.

Jeziro przestało go unosić, ręce i nogi zeszywniały. Ale mimo to płynął.

- Jesteśmy!

Wciągnęli go na coś twardego, drewnianego, huśtającego się - był to pomost. Pachniało przystanią, latarka rzucała wąski snop światła na pale i łodzie, a deszcz łomotał o gonty dachu.

Gdy przytwierdzono łańcuch kotwiczny - i jeszcze długo potem - Hell leżał bez tchu.

O, psiakość, jaki jestem wypompowany...

Ale czuł się tak, jak po wygranych zawodach.

Jednak dałem rady - myślał z triumfem. - Mimo wszystko!

Gdy tak leżał bez ruchu, zęby zaczęły mu szczekać i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo, jak strasznie jest przemarznięty. Z przyklejonych do czoła włosów ściekała woda. Żołądek bolał, wzdymał się i opuszczał, jak miech.

- Niedobrze ci? - odezwała się dziewczyna z łodzi.

Skinął głową. Brał ją przedtem za chłopca. Dopiero, gdy przy nim ukłękła, spostrzegł, że to dziewczyna. Chyba wieśniaczka - miała na sobie sukienkę z krótkimi rękawami, koszulę z surowego płótna i wysokie buty. Odzież była mokra i przyklejała się do ciała. Ale od całej postaci biło miłe ciepło.

Przytrzymała warkocz zębami i długo wytrząsała z włosów wodę, a potem upięła je w węzeł z tyłu głowy.

- Pomóc ci oddychać? - spytała, ujmując jego obie ręce i podnosząc powyżej jego głowy.

- Nie zemdlałem - odpowiedział i uśmiechnął się, widząc, z jakim wysiłkiem usiłuje mu zrobić sztuczne oddychanie.

- Bądź cicho! - komenderowała. - Pozwolili ci rodzice na coś takiego, ty głupcze? Nie znasz dobrze jeziora, prawda? Gdy cię tylko zobaczyłam na wodzie, zaraz sobie pomyślałam, że to się niedobrze skończy. Oglądałam cię przez lunetę, a potem straciłam całkiem z oczu, więc złapałam łódź i jazda na jezioro! Wiesz mi, że podczas burzy nie było to takie łatwe! Byłbyś z pewnością utonął, gdyby nie ja...

- Nie przypuszczam. Dałbym sobie radę. Nie pozwalałam się tak łatwo pokonać.

- Aha - mruknęła.

Przez pewien czas siedziała z rękoma splecionymi na kolanach i patrzyła na niego tak, jakby był trudnym problemem do rozwiązania. Oczy miała czarne, nieprzenikliwie czarne, odbijało się w nich światelko latarki. Była drobna, zarazem bardzo kobieca i bardzo dziecinna, rzekłbyś, krągły, omszony puszkami, na pół dojrzały owoc.

- Jak się nazywasz? - spytał Hell.

Miał wielką ochotę przylgnąć głową do mokrych perkalików i zasnąć.

- Puk - odpowiedziała, wyzymając z warkoczy resztki wody.

- Jak to... Puk? Co to znaczy: Puk? - spytał, odsuwając się od niej nieznacznie.

Z całą ufnością przytuliła się do niego, znów zaczęła grzać go ciepłem własnego ciała.

- No, Puk. Właśnie: Puk. Bo widzisz, moja mama jest artystką, nadzwyczajną artystką. Byłeś kiedyś w Wiedniu? To musisz ją znać, gra w Burgteatrze. Mnie nie pozwalają chodzić do teatru, ale to musi być bardzo piękne. Mama na scenie nazywa się Kamilla Bojan.

- Bojan!... Mój Boże!... A ja myślałem, że ty jesteś chłopką.

- A bo jestem! Muszę ci powiedzieć, że trochę zbzikowaną. Lubię mieszkać na wsi. I latem, i zimą. W zimie śnieg... wiesz... nic potrafię tego tak ładnie powiedzieć. Czasem chciałabym się cała zagrzebać w śniegu. Tata nazywa mnie Łasiczką. Jest bardzo dobry. Także trochę zbzikowany. Mama też. Ale mama inaczej. A kim ty jesteś?

Mówiła szybko, przeskakując z tematu na temat. Figlarnie, niewinnie, przesunęła palcami po jego czole. Hell drgnął - po grzbiecie przebiegło mu przyjemne mrowienie.

- Co mam z tobą teraz zrobić? - spytała Puk. - Jeszcze się rozchorujesz, jak będziesz tak leżał tu nago. A do domu nie mogę cię zabrać, u nas są dziś goście. Tata odczytuje fragmenty nowej książki. Filozoficznej! Znasz się na tym? I ja także nie. Gdybym cię zabrała ze sobą - tak jak jesteś, w kąpielówkach - pewnie by się z ciebie wszyscy śmiali. Wrócić także się nie da, jestem zanadto zmęczona, żeby wiosłować. A ty w ogóle jesteś do niczego. Teraz przede wszystkim musisz się dobrze otulić, żeby ci było ciepło. Za dwie godziny zrobi się piękna pogoda, pożyczę ci wtedy moją łódkę.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał, Hell drżąc coraz bardziej. Czuł, że mięśnie mu zwiotczały i że nie jest zdolny do

żadnego wysiłku. - Gdzie jesteśmy? Czy to jest już drugi brzeg?

- Tak. Jesteśmy na drugim brzegu. To ładnie brzmi: „Na drugim brzegu”, prawda? Jest nawet taka piosenka...

I Puk zanuciła kilka słów miłym, jakby ptasim głosem.

Nagle wstała, zbliżyła się do łodzi, ułożyła wiosła, umocowała łańcuch do pala, wytarła mokre dłonie o mokrą sukienkę. Z daleka wyglądała jak nierealne zjawisko, wynurzała się z mroku w krąg światła latarki i znów znikła w ciemnościach nad wodą. Hell przymknął oczy.

- Skąd wiesz, że niedługo będzie pogoda? Jesteś zabawne maleństwo - powiedział półsennie.

Stała nad nim, poklepała go po ramieniu:

- Wstawaj, wstawaj! Tutaj spać nie można, bo zapalenie płuc gotowe! No, hop!... A pogodę czuję. Jezioro znam, jak swoje dziesięć palców. Kiedy tatarak tak pachnie mocno jak teraz, to znaczy, że będzie ładnie. Chodź, pójdziemy do rozbieralni, poczekamy, aż deszcz ustanie, dobrze?

Poszli pod szumiącymi od deszczu drzewami, przez łąkę, przez dróżkę, pagórkami, doliną, znów ścieżką, wreszcie po wilgotnych, drewnianych schodkach. Jakże to wszystko dziwne na tym drugim brzegu - i ten ciemny park, i ta droga po omacku - jakie to zabawne uczucie dać się prowadzić za rękę tej małej, obcej dziewczynce!... Deszcz pada, pada, pada, rozpluskują się krople na dachu. Zapach mokrego drewna i kąpieli, zapach miły, swojski.

Ta „rozbieralnia kąpielowa” to niski czworokątny budynek. Dziewczyna zapala staroświecką lampę. Na podłodze leżą maty, w kącie stos złożonych leżaków. Pod ścianą stoi jesionowa kanapa obciągnięta pasiastym jedwabiem. Obok niski stolik, wiklinowe meble. Tu i ówdzie na podłodze poniewierają się sandały i pantofle, na gwoździu

wiszą kolorowe sukienki, pstre kimona. Pachnie dobrymi papierosami, kobietą i tajemniczością.

Hell czuje się coraz bardziej obco; za wiele wrażeń jak na jeden dzień.

Puk znika za drewnianym przepierzeniem, tam pewnie jest kabina. Nad cienką ścianką przelatuje płaszcz kąpielowy.

- Owiń się, a kąpielówki zdejmij, muszą wyschnąć.

Po chwili Puk zjawia się w chusteczce na głowie, w sukience z egzotycznego, batikowanego jedwabiu. Stopy ma bose. Wygląda jak jawajska niewolnica. Hell widział taki obrazek w jakimś magazynie.

- Zmokłam jak kura - śmieje się Puk. - Musiałam wszystko zmienić, do ostatniej nitki... I już klęka na nim, szorstką rękawicą zaczyna mu rozcierać plecy, piersi, ramiona.

- Dobrze ci tak? Dobrze? - pyta przejęta i aż sapie z wysiłku.

Rzeczywiście, po kilku chwilach przechodzi mu to przekłete drzenie, mija dokuczliwa słabość mięśni. Hell oddycha raz i drugi głęboko i systematycznie, wreszcie mówi:

- Doskonale! Ty jesteś świetnym wynalazkiem.

Hell cudownie wypoczywa, wyciągnięty na leżaku. Puk siada ze skrzyżowanymi nogami na macie i rozciera mu stopy, ujmuje w dłonie jego zeszywniałe palce, jeden po drugim, masuje lekko, potem mocniej, coraz mocniej. W końcu stawia jego prawą stopę na swoim kolanie i obserwuje ją z powagą i z rozmysłem.

- Ty jesteś porządny człowiek - konstatuje.

- Średnio - prostuje Hell. - A po czym to poznajesz?

- Tata mówi, że porządni ludzie mają ładne stopy. Mówi, że to, co człowiek ma brzydkie, co ukrywa przez całe życie przed innymi, wyraża się w rysunku stopy. Na plaży oglądam

zawsze ludzkie nogi. Jak są brzydkie, to dziękuję, to nie dla mnie.

Chuchnęła w jego stopę tak, jakby to był przedmiot do polerowania.

- Ciepło już teraz? Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Hell uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nie miał dużej wprawy w obcowaniu z kobietami. Płoszyło go to, że naraz znajdował się w obliczu jakichś zupełnie niespodziewanych, niepojętych zachowań, na które reagował po prostu jak osioł. Raz na jakiejś wycieczce pewna wdówka - gdy pękła dętka w jej rowerze - zaciągnęła go do rowu i ni stąd ni zowąd zaczęła całować.

Jakaś pokojówka zwabiła go do piwnicy... nie, o tym wspominał niechętnie. Na politechnice stykał się z koleżankami (przeważnie były nieładne). Wieczory w kawiarniach, naukowe dyskusje. Kończyło się łzami, histerią, pretensjami. A potem była Anita - mała tancereczka ze „Złotego Baru” - podarowała mu wiosnę, pełną rozszczebiotanego zakochania i nagle znikła bez śladu. A raz - pewna księżniczka na jeziorze Wolfgang objęła go i ucałowała; przy ludziach... brr. Pani, której w ogóle nie znał, pisywała do niego niezrozumiałe listy, a poblady ze wzruszenia fabrykant dywanów zjawił się pewnego dnia w mieszkaniu Hella z laską w ręce i chciał go nie wiadomo dlaczego pobić w przystępie zazdrości. Że teraz jawajska niewolnica imieniem Puk rozcierała mu stopy - to było nowe, bardzo przyjemne, ale mimo to cokolwiek niepokojące. Bóg wie, co z tego wyniknie.

Przemknął mu w pamięci obraz jej matki - Kamilli Bojan. Widział ją jako Lulu w sztuce Wedekinda. Dziwnie ścisnęło go w krtani na myśl o tej kobiecie - znów spojrzał na dziewczynę. Przycupnęła, jak małe zwierzątko, z oczyma pełnymi wierności i oddania. Hell, rozkoszujący się ciepłem, chciał jej szepnąć coś miłego, tkliwego... i bardzo się zdziwił,



gdy naraz wymknęły mu się z ust ochryple, zawstydzające słowa:

- Jestem bardzo głodny. Puk zaśmiała się.

- Ja też - powiedziała i po chwili już jej nie było.

W szparze między drzwiami ukazała się jeszcze na chwilę jej dłoń. kiwająca mu na pożegnanie, a po chwili z parku dobiegł głos:

- Deszcz już nie pada!

Istotnie, ustał plusk kropel o dach. W ciszy Hell usłyszał bicie własnego serca. Krtań wciąż jeszcze ścisnął kurcz; cikliwy posmak wypełniał usta. Czuł, że chłodny, kroplisty pot występuje mu na skronie, jak przed egzaminem - było mu wyraźnie niedobrze. Imaginowany zapach potraw załaskotał w nozdrzach.

Hell wstydził się - uparcie, zawzięcie wstydził się przyznać, że jest głodny. Fakt, że przyznał się do głodu wobec tej małej, miał więcej znaczenia niż wyznanie miłosne. Gdy wyszła, nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że pozwolił sobie na tę bezwstydną poufałość. Ale gdy wróciła - pełna ciepła, zaaferowania i krzątaniny, pełna miękkości w ruchach i powagi w spojrzeniu - znów zrozumiał: wszystko w niej było bliskie i przyjacielskie.

Nie była sama.

- To jest Mariuszka z kolacją - objaśniła. - A to jest Tygrys - i pogłaskała wielkiego doga po głowie. - Musisz mu powiedzieć, jak się nazywasz, żeby cię poznawał.

- Nazywam się Urban - przedstawił się uprzejmie Hell. Pies obwąchał go i położył mu wielką, ciężką łapę na ramieniu.

- Ten pan się nam podoba, Tygrysku, prawda? - mówiła Puk.

Naraz spojrzała na Hella i przeraziła się. Zbladł na widok talerzy, wielkie krople potu perliły mu się na czole.

- Siadaj, jedz i nie gadaj nic - rzekła, spuszczać oczy.

Puk przyklekła na macie w swej zwykłej jawajskiej pozie i szeptała coś psu do ucha, na co Tygrys odpowiadał porozumiewawczym machaniem ogona.

- Ser czy owoce? - spytała, nie patrząc na jedzącego w chwili, gdy odkładał nóż i widelec.

- Jedno i drugie - odparł Hell.

Puk obrała brzoskwinie ze skórki, usiadła obok Hella na starej jesionowej kanapie i wetknęła mu do ust ociekający kroplami soku owoc. Ten soczysty miąższ podniecił go - przez chwilę zdawało mu się, że to jej usta... Ale zgromił się w myśli i wraz z brzoskwinia połknął tęsknotę za ustami dziewczyny.

- No, jesteś zadowolony? - spytała Puk czule, niemal pokornie.

- Niezupełnie - odpowiedział szczerze.

- Czego chcesz jeszcze? Wina? Wódki? Papierosa?

- Nie. Nie używam żadnej z tych rzeczy. Odzwyczaiłem się podczas treningu.

- W takim razie masz fantazję. Tata twierdzi, że tylko ludzie pozbawieni fantazji muszą się podniecać narkotykami. Może chcesz się położyć i odpocząć?

- Na twoim łonie - zawołał naraz Hell. I znów zdziwił się swymi słowami i sztucznością użytego wyrażenia.

Ale Puk nie zdziwiła się ani trochę. Założyła nogę na nogę, położyła głowę mężczyzny na swoich kolanach. Hell wyciągnął się i westchnął głęboko. Było mu dobrze.

Milczeli przez długą chwilę. Tygrys podniósł się, przeciągnął, po czym przywarował przed drzwiami.

- Deszcz ustał. Możesz już wrócić łodzią. Odwiedzisz mnie kiedyś?

- O tak. O tak!

- Podobasz mi się bardzo. Czy i ja ci się podobam? - Tak.

- Opowiesz Tygrysowi i mnie, co się z tobą dotychczas działo? Chcielibyśmy coś o tobie wiedzieć.

- Kiedy ja sam nic nie wiem, Puk.

- Więc poczekaj, będę cię pytała. Masz matkę? Jak wygląda?

- Mam matkę... jest malutka, drobna, gdy miałem jedenaście lat już ją o głowę przerastałem. Ojciec mój umarł, nim przyszedłem na świat. Moja matka wychowała mnie sama, choć jest taka mała i niepozorna. Ale teraz, niedługo będę bogaty. Na razie to sekret. Zrobiłem wielki wynalazek i za to dostanę dużo, dużo pieniędzy. Może zostanę dyrektorem fabryki albo może sam sobie jakąś kupię. Ale ty z tego nic nie rozumiesz, prawda?...

- Właśnie że rozumiem!

- Wuf - warknął Tygrys i zatarasował sobą drzwi. Za drzwi dobiegł szelest gałęzi i czyjś śmiech.

- Ach, to mama! - zawołała Puk.

Kroki skrzypnęły na żwirze, stuknęły na schodkach.

Hell zawinął się ciaśniej w płaszcz kąpielowy, otrząsnął się z półsennego odurzenia.

- Jeszcze tu światło? Puk, o tej porze się kąpałaś? - zapytał głos zza drzwi.

Słynny, głos Kamilli Bojan...

Weszła. Stała w drzwiach - biała na czarnym tle. Miała na sobie jasny płaszcz i wyzierającą spod niego jakąś lśniąca suknię. W ręce trzymała świeżo zerwaną gałązkę bzu - to zauważył Hell bardzo wyraźnie. Białe pantofelki były w ciemnych plamach od rosy - to spostrzegł także. Miała smukłą szyję i delikatny podbródek, jak młoda dziewczyna. I czarne oczy. Nad czołem płonął hełm rudych włosów; rudych, nie jak włosy, ale jak egzotyczne kwiaty.

To była Kamilla Bojan...

- Przepraszam... masz gościa? - spytała na pół śpiwnie, na pół drwiąco i obejrzała Hella, poczynając od obnażonych stóp, a kończąc na jego ustach.

- On płynął przez jezioro od tamtej strony... przyszła burza... więc go tutaj sprowadziłam... nakarmiłam, bo był bardzo głodny z tego pływania. - Puk udzielała wyczerpujących wyjaśnień, trzymając przez cały czas Tygrysa za obrozę.

Pies warczał, a jego oczy nabrały fosforyzujących błysków.

- To tak? - powiedziała Kamilla Bojan, uśmiechając się. - A jak się nazywa ten chłopiec?

- Doktor Hell - przedstawił się Hell i szurgnął piętami, co, zważywszy na charakter jego odzieży, wywołało dość dziwne wrażenie...

- Zaraz... Pańską fotografię już kiedyś widziałam - Kamilla Bojan zmarszczyła brwi. - Z jakiego tytułu, tego już dziś nie wiem. Ale twarz pańską pamiętam. Był pan wtedy także w płaszczu kąpielowym.

- Wygrałem zawody pływackie o mistrzostwo Austrii na 200 metrów stylem klasycznym, Kamilla Bojan wpatrywała się w jego białe zęby.

- Chce pan u nas przenocować? - spytała z roztargnieniem. - Co prawda, gościnne pokoje mamy pozajmowane... sama literatura, żadnego przedstawiciela sportu... ale gdyby pan się chciał zadowolić mansardą?

- Dziękuję - odrzekł Hell.

- Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?

- Dziękuję: nie.

Był nauczycielem pływania. Znał swoje miejsce. Zabrała głos Puk:

- Może wziąć moją łódkę. Przeprowi się na tamten brzeg, a jutro przywiezie mi łódź tutaj.

- Musi pan być względem niej pobłażliwy, panie doktorze. To prawdziwy leśny stwór, ta mała Puk!

- Wuf! - znów wyszczerzył kły Tygrys. Dziewczyna musiała go mocno trzymać

- Leżeć, Tygrys! Nie gniewaj się na mamę, tyle razy cię o to prosiłam - przekonywała go półgłosem.

Kamilla otuliła się płaszczem.

- Do widzenia, panie doktorze - rzekła. Wyciągnęła rękę do Hella - uścisnął ją niezdecydowanie.

Dłoń jej była bardzo ciepła, niezwykle gładka, wyczekująca... Gdy Hell tak stał niezgrabnie z tą obcą dłonią w swojej ręce, naraz ta dłoń jakoś sama podniosła się do jego ust. Pachniała gorzkawymi, podniecającymi perfumami. Pocałunek Hella niezdarnie zawisł w powietrzu.

- Nic wolno mamy gryźć, Tygrysku.

Usta Puk drżały po dziecinnemu, oczy jej lśniły, palące i czujne.

Gdy Kamilla wyszła, Puk zwolniła psa, który ujadął ochryple. Tygrys śmignął do parku jak lotna strzała.

Stamtąd słychać było jego szczekanie.

Nagle Puk nieoczekiwanie chwyciła Hella za rękę, podniosła ją do ust i ukąsiła go w palec.

To zabolalo - Hell przestraszył się, aż krzyknął.

- Co to ma znaczyć? - spytał groźnie.

Stał właśnie pod lampą - w świetle widać było wyraźnie odcisk jej zębów na jego skórze - mały owal, podbiegający błękitnawym sińcem.

Hell był zły. Puk stała ze spuszczoną głową, nie odrywając oczu od tej ręki - dużej, mocnej, pomarszczonej na opuszkach palców od ciągłego pływania.

- Nie wiem, co mi się stało... - wymamrotała. Staneła w kącie, z twarzą zwróconą do ściany.

- Idź sobie - mówiła. - Ale wróć! Albo nie. Idź... sama nie wiem, czego chcę. Hell nie lubił podobnych scen.

Podszedł do niej, położył ręce na ramionach dziewczynki i powoli obrócił ją ku sobie.

Grube łyzy toczyły się po jej policzkach. Hell pochylił się, pocałował i przytulił jej głowę do piersi. Stało się to jakoś bez namysłu. Puk przywarła do niego, słyszała bicie jego serca, jego oddech.

Czuła się bezpieczna. Przymknęła oczy, westchnęła głęboko. Hell nie był rad z tej sytuacji, ale nie wiedział, jak ją zmienić.

Jeszcze stali tuż przy ścianie, gdy usłyszeli męski głos:

- Dobry wieczór!

Hell odsunął dziewczynkę i skłonił się w stronę wchodzącego.

Przybysz był wysoki, bardzo szczupły, twarz jego miała barwę żółtą, chorobliwą. Ale dłonie i rysunek czoła były tak delikatne i arystokratyczne, że nawet Hell to zauważył.

- Baron Dobbersberg - przedstawił się.

- Doktor Hell.

Puk uważała za stosowne dodać jeszcze komentarz:

- To jest mój tata. A to jest, papo, ten chłopiec, po którego pojechałam łodzią podczas burzy.

- To szczególna namiętność Łasiczki, ratować ludziom życie - zaczął baron. - Jej grande passion. Lawiny, ukąszenia żmij, upadki z Żelaznego Zęba, burze na jeziorze, epidemia szkarlatyny - to jej żywioł!... Mam nadzieję, że pan wypoczął po tym ryzykownym przedsięwzięciu? A wie pan, czemu to jezioro zawdzięcza swą nazwę? Podobno w średniowieczu dwadzieścia cztery dziewice rzuciły się do wody, aby uniknąć gorszego niż śmierć niebezpieczeństwa, które groziło im ze strony nieprzyjacielskich wojsk... I teraz na dnie jeziora czyhają na młodych ludzi... Proszę pamiętać o tej przestrodze,

panie doktorze! Puk, mama poleciła mi, żebym odprowadził twojego gościa na przystań. Musisz wrócić do domu. Tygrys jest źle wychowany, trzeba go nauczyć rozumu.

Puk ujęła dłoń Hella - tę samą dłoń, którą przedtem pogryzła - i otarła się o nią policzkiem. Był to gest łaszącego się zwierzątka.

Hell wyjąkał coś niezrozumiałego, owinał się szczelnie płaszczem kąpielowym i poszedł za baronem.

Park był jak zaczarowany. Srebrne opary zawisły nad śpiącymi krzewami. Niewiarygodnie wielki księżyc snuł się we własnej jasności po bezgwiezdnym niebie. Jezioro pluskało sennie u stóp wzgórza.

Na przeciwległym brzegu widać było łańcuch świateł. W „Grand Hotelu” grzmiała muzyka. Tam pewnie tańczono. Na wodzie migotały refleksy kawiarnianych okien. Zegar na wieży wydzwonił godzinę. Pierwszą.

Baron wskazał na dwa cienie - długi cień Hella i swój, o wiele krótszy - leżące na łące.

- Niestety, nie mogę panu służyć ubraniami. Jesteśmy różnych wymiarów. Na moją niekorzyść, muszę przyznać.

Hell, przytłoczony koniecznością prowadzenia rozmowy ze słynnym autorem dzieł filozoficznych, wymamrotał:

- Bardzo dziękuję...

I zobaczył, jak jego cień się skłonił; znał to za bardzo eleganckie.

- Muszę pana przeprosić za moją Łasiczkę, jeżeli zachowała się niewłaściwie - odezwał się Dobbersberg po chwili milczenia. - Kto jej nie zna, temu musi wydawać się dziwna. Tak bardzo odbiega od szablonu...

- O, tak - przytaknął Hell, uśmiechając się do siebie.

- Wina czy zasługa leży po stronie wychowania, jakie jej dałem. Widzi pan, długo mieszkałem w rejonach podzwrotnikowych. I przywiozłem stamtąd - prócz malarii -

niechęć do Europejczyków. Pisałem na ten temat książki - ale ktoś modeluje ludzi według książek? O, nie wmawiam sobie nic, nie przypisuję prometejskiej siły drukowanemu słowu. Ale tę małą, tę Łasiczkę, wychowywałem po swojemu. To jest - wcale nie wychowywałem, panie doktorze. Chciałem zaobserwować, czy typ łagodnej, naturalnej, czarującej kobiety podzwrotnikowej może się przyjąć i w naszym klimacie. Nie niwelować instynktów!... No i oto mamy rezultat. Zdaje mi się, że ona jest urocza, ta mała... Jest chyba urocza?

Ponieważ to brzmiało jak pytanie, Hell przyświadczył z zapalem:

- O, tak!

- Mógłby mi ktoś zarzucić oczywiście, że taka mała dziewczynka jest zagrożona, bardziej zagrożona niż inne, w okresie dojrzewania. To kobietka, mimo iż ma dopiero szesnaście lat.

Dobbersberg uśmiechnął się tak jak przedtem, gdy patrzył na oba sąsiadujące cienie.

- Czy pan pracuje naukowo, czy ten tytuł doktorski, to tylko ornament?

- Jestem chemikiem - odrzekł Hell, czując mocny grunt pod nogami. - Pociąga mnie raczej praktyka niż teoria. Zawsze lubiłem eksperymenty. Wcześniej się wyspecjalizowałem. W fotochemii. Pracowałem w firmie „Olum”. Ale nie wiodło mi się. Jako jeden z najmłodszych zostałem zwolniony z posady podczas pierwszej redukcji. Teraz właśnie czekam...

- Ach! - westchnął baron z uprzejmym współczuciem. - I ma pan coś na widoku?

- Tak, oczywiście. Mam wspaniałe widoki. Ale wolałbym jeszcze o tym nie mówić. Czekam na list, na decyzję...



- Tak? - mruknał baron z roztargnieniem. - Niech pan nam jutro przywiezie tę łódeczkę. Będziemy bardzo radzi widywać pana u nas częściej.

Hell skinął ręką na pożegnanie i wskoczył do łodzi.

Po chwili już księżyc słał się smugą za wiosłami rozcinającymi powierzchnię jeziora. Baron Dobbersberg szedł w zadumie do domu.

### Rozdział 3

Ładna pogoda w Frauensee - nieprawdopodobnie błękitny, złoty, pałący letni dzień! Wszystkie góry rysują się ostro nad jeziorem: Żelazny Ząb, Dobrzy Bracia, Głowa Cukru, Wysoka Grań. I po raz drugi widać je w wodzie - wygląda to tak, jakby się kąpały.

Hell już o szóstej rano mierzył temperaturę wody. 16 stopni. Wobec tego na czarnej tablicy, wiszącej obok kasy, napisał zachęcające 19 st.. Stał przez chwilę przed swoim własnym wizerunkiem, umieszczonym na plakacie, a następnie zabrał się do roboty.

Maks, który awansował z roli podrzutka z przytułku na urzędnika „zakładu kąpielowego”, zamiatał plażę przy pomocy miotełki. Jeden z kuracjuszy (wykupił abonament) jest już od rana - przychodzi pierwszy i wychodzi ostatni - byle tylko wykorzystać abonament podczas ładnej pogody. Pan Birndl zatarasowując swą masywną postacią wejście do kabin. W okienku kasy siedzi pani Birndl, podwójnie błogosławiona: po pierwsze, przez widoki na przyrost rodziny, po drugie - przez widoki na przyrost dochodów.

Na plaży leżą kuracjusze, grają w piłkę, gimnastykują się. Pani Paulina Mayreder, która waży o sześć kilo więcej, niżby chciała, gimnastykuje się z zapalem. Robi skrety tułowia, które nie zawsze się udają, rozkłada ręce i kręci biodrami według własnej dosyć zawilej metody. A potem kładzie się na ziemi i usiłuje „nakryć się” nogami. Ale bez powodzenia.

Pani Mayreder jest już prawie sina z wysiłku. Siada na piasku i rzuca na przechodzącego Hella rozpaczliwe spojrzenie.

Kilku śmiazków już się kąpie. Dla nie umiejących pływać teren ograniczają chorągiewki, które Hell co rano musi przemieszczać, zależnie od poziomu wody. Stamtąd dobiegają krzyki i wołania, jakby kogoś zarzynano.

Hell, który dotąd był instruktorem tylko w klubie sportowym, jest poirytowany tym rozgardiaszem. Co pięć minut spogląda zatroskany, czy nikt z krzyczących nie utonął. Od czasu do czasu daje sygnał małym gwizdkiem, po czym wraca na pomost, gdzie udziela lekcji pływania.

Pomost sterczy na palach i jest obleżony przez ciekawskich, którzy przyszli tu obejrzeć nowego mistrza pływania. Pachnie rozgrzanym od słońca drewnem, wodą, ciałem ludzkim.

Hell, wysmarowany oliwką, lśni na brązowo. Przyciska między kolanami drążek, na którym dynda jakiś żalosny nowicjusz i komenderuje rytmicznie: - Raz - dwa - trzy! Raz - dwa - trzy!

Po chwili idzie do Maksa, który spisuje się dziarsko, zbierając zużyte ręczniki z kabin.

- Maks, pobiegnij na pocztę i zapytaj, czy nic dla mnie nie nadeszło!

Maks biegnie. Pan Hell posyła go na pocztę trzy razy dziennie, drogę już zna, oho!...

- On jest czarujący - szepce półgłosem jakaś pani w płaszczu kąpielowym a la zebra, stojąca w gronie widzów.

Na brązowym, spoconym czole Hella występuje sina żyła.

- Proszę się usunąć z pomostu! - zarządza energicznie.

Słysząc pomruk niezadowolenia. Ostatecznie atrakcje w Frauensee nie są tak liczne, aby dobrowolnie rezygnować z oglądania nowego nauczyciela.

I w tej właśnie chwili przytrafiło się Hellowi coś, co się może przydarzyć tylko jeden raz w życiu. Na balustradzie mostu leżała czyjaś smukła ręka parująca w słońcu srebrnymi kropelkami wody. Od ręki tej płynęła taka siła i takie ciepło, że Hell aż się wzdrygnął. Podniósł oczy i spotkał się z tamtymi oczami: były brązowe, ale miały taki ciepły blask jak topaz. jak przydymione złoto...

- Przepraszam bardzo... ale chciałam ćwiczyć skoki - usłyszał chłopięcy głos.

- Proszę - odrzekł Hell cicho i odsunął się.

Podrzut, rozmach, skok dziewczęcego ciała - to wszystko było dziełem sekundy. Bariera drgnęła, w dole zapieniła się woda z lekkim szumem, wskazującym, że skok był dobry, prawidłowy.

Hell podbiegł do trampoliny i śmignął do wody jak strzała. Gdy się odwrócił, zobaczył, że dziewczyna stoi znów na schodkach i czeka na niego uśmiechnięta. Wdrapał się na pomost tuż obok niej - na wysokości głowy miał jej kolana, niewiarygodnie smukłe i pięknie przechodzące w linię ud. Popatrzyła na niego - i pobiegła po schodach na skocznię. Hell stał na moło, cały mokry.

Podniósł głowę - spojrzał na skocznię - i naraz zrozumiał wszystko.

Tam na górze, na najwyższej trampolinie stały dwie dziewczyny. Złożyły ręce na ramionach - stanęły tuż na brzegu deski - podniosły się na palcach, zakołysały na piętach, sprężyły - i tak splecione, ładnym łukiem przecinając powietrze, skoczyły do wody.

Pan w pasiastym pulowerze, zwany Bobby, zwrócił się do hrabiego w jasnozielonym płaszczu kąpielowym.

- To śliczne dziewczęta, te panny Lyssenhop, najładniejsze w całym Frauensee. I absolutnie nie można ich rozróżnić. To komiczne, prawda?

- Podobno stary Lyssenhop mówi, że sam ich nie może rozróżnić. Jakie one kawały robią ludziom, dzięki temu podobieństwu!

Hell nie spuszczał oka z sióstr: już wyszły z wody i biegły na wyścigi po piasku.

Czoło Hella pobruździły małe, dziecinne zmarszczki. Gnany niewytłumaczonym porywem zawołał:

- Nie rozumiem, jak można ich nie rozróżnić! Przecież każda z nich jest zupełnie inna! Przede wszystkim, jedna jest o wiele ładniejsza, bez porównania ładniejsza! Bardziej wygimnastykowana i ma lepszą figurę. Druga ma przecież nogi trochę w „x”! I każda pływa innym stylem! Niepodobna wziąć jedną za drugą!

Obaj panowie odwrócili się w stronę „nauczyciela pływania” - Bobby nie bez wyraźnie zaakcentowanego zdziwienia. Hrabia ujął monokl między długie, szczupłe palce i rzekł przez nos:

- To interesujące... Bardzo interesujące! Pan patrzy z punktu widzenia zawodowego? Hm, to bardzo ciekawe...

Hell poczuł, że to gorące, skwarne południe dało mu się mocno we znaki. Coś tak jakby udar słoneczny. W głowie mu płonęło i huczało. Uśmiechnął się, pokazując wszystkie lśniące ostre zęby.

- Nie jestem profesjonalistą. Jestem inżynierem. Nazywam się Hell.

I szurgnął bosymi piętami kłaniając się, na co zdziwieni panowie odpowiedzieli ukłonem z pewną rezerwą...

- Tak wsiąknęłam w tę historię z tobą... jestem całkiem pogrążony - mówił Urban Hell do May Lyssenhop.

May zapytała uszczęśliwiona:

- Doprawdy...?

Każde pokolenie przeżywa miłość na swój własny sposób i wypowiada ją własnym żargonem. W powieściach i w poezji, czarno na białym, drukiem na papierze wyraża miłość słowami: „kocham cię”. Ale współczesny młodzieniec wobec współczesnej dziewczyny uważałby podobne wyznanie, powiedziane z takim patosem, za nieodpowiednie, za niestosowne. Wstyd hamuje - dziwny, subtelny, wstyd, mieszkający w duszach nowoczesnej młodzieży. Młodzież gimnastykuje się razem, pływa i flirtuje, i tańczy, i całuje się

do upadłego - ale nie używa słowa „kocham”. Tego trzebaby się zanadto wstydzić...

- Tak wsiąknęłam w tę historię z tobą... - mówił więc Urban Hell. - I to od razu jak cię tylko zobaczyłem. A jak wtedy stałaś na moście obok mnie, to...

- Tak? Doprawdy?...

May spogląda na niego szeroko otwartymi oczyma, choć jest tak ciemno, że nic widzi nic, oprócz połyskujących w uśmiechu jego zębów. Jest godzina jedenasta wieczorem. W „Grand Hotelu” Petermanna jeszcze tańczą. Hell i May wyszli z sali, aby zaczerpnąć świeżego powietrza; od strony Żelaznego Zęba idzie chłodny powiew. Powolutku pod rękę wyszli na promenadę. A polem - instynktownie unikając spojrzeń letników siedzących na ławkach - skręcili w bok, poszli do lasu. Pod stopami ich zaszeleściło miękkie igliwie - mimo woli urwali rozmowę. Nad źródłem Julii pocałowali się po raz pierwszy - wypadło to nieśmiało i cokolwiek niezgrabnie. I zaraz potem zaczęli rozmawiać na jakiś błahy, nieważny temat. Tuż obok drogi, wiodącej w dolinę i całkiem opustoszałej, szemrał górski strumyk. Na dźwięk tego tajemniczego odgłosu wody znów zamilkli - i Hellowi zdawało się, że lada chwila albo zadusi się, albo eksploduje, tak coś płonęło i rozsadzało mu serce. Tam, gdzie w cieniu i w zapachu jodeł rozpoczyna się pierwsza serpentyna - pocałowali się po raz drugi. I to tak, że aż oboje pobledli.

- Drzysz...? - wyszeptała May.

Ten pocałunek przeszył ją do głębi, niby błyskawica ciemne niebo. Wstrząśnięta, osłabła, stała z przymkniętymi oczyma, ze zwisającymi rękoma, ocieżała od wezbranej tęsknoty.

- Tak... drzę troszkę - odpowiedział Urban, sam się temu dziwiąc.

- To ładnie... - szepnęła May.

Tak, to było ładne, że ten mocny chłopak tak drżał przy dotknięciu... May pokonała w sobie resztki oporu i poddała się ramionom Hella, jego szukającym ustom...

Wybiła jedenasta, gdy znaleźli się na polance. Był to występ górski, skąd roztaczała się piękna panorama. Przezorne Towarzystwo Turystyczne ustawiło tam ławkę, pachnącą jedliną i zostawiającą plamy z żywicy na jasnych sukniach damskich. May i Hell, z rękoma splecionymi aż do bólu, usiedli na tej ławce i rozmawiali półszepem. Głosy ich stały się ciepłe i głębokie ze wzruszenia. To, o czym mówili, nie miało znaczenia, ale pod podszewką tych słów płynął potok nowego, nieznanego szczęścia...

- Tyle gwiazd - szeptała May. A Hell odpowiadał jak lunatyk:

- Jutro będzie co najmniej osiemnaście stopni.

W dole, w „Grand Hotelu” łkały dwa saksofony, zanosiły się od rozdzierającej murzyńskiej melancholii. Z góry, z hali dobiegały dźwięki dzwoneczków - tam pasły się krowy - dzwoneczki dzwoniły półsennie.

- Więc jak to się zaczęło? - spytała jeszcze raz May, wgryzając się zębami w ramię Hella jak rozgniewane zwierzątko.

Hell zdjął marynarkę - granatową marynarkę od „świętecznego ubrania” - i położył na ławce. May na niej usiadła. Hell miał na sobie białą koszulę, zęby May poprzez płótno ukąsiły go lekko, aż po samo serce napełniając ostrą słodyczą.

- Ty pachniesz tak... dziwnie - szeptała May. - Ty pachniesz... tak, świeżo upieczonym chlebem... i pachniesz jak chłopak. I słońcem. I wodą. I jeszcze jakoś...

- Tak, ty... - szepnął Hell zachwycony.

I znów zaczął jej opowiadać, jak to go złapało, jak wsiąkł i jak jest pogrążony. A potem z kolei May mu opowiedziała, jak

to się z nią zaczęło i jak było coraz gorzej - a teraz już jest tak, że całkiem głowę straciła. Tak się właśnie wyrażała ładna, smukła May Lyssenhop. A potem siedzieli oboje bez słów, bezsilni w przypiływie opanowującego ich uczucia. O Boże, jacyż oni byli zakochani, jak krew łomotała im w żyłach i uderzała do głowy!

U Petermanna mniejszego, w budynku, zwanym przez pana Birndla deperdance zaczęła się na domiar jeszcze jedna muzyka. Tam mieszkają wytworni ludzie drugiej klasy, którzy posiadają tylko gramofony. Głos Carusa rozbrzmiewał wśród górskiej nocy. Caro mio ben - śpiew rozpływał się kantyleną - a gdzieś daleko w dolinie skrzypiał żuraw u studni, w czystym powietrzu odgłos słyhać było wyraźnie. Po jeziorze ślizgało się małe światełko latarki, na tamtym brzegu jaśniały okna w zamczku Dobbersbergów.

To Puk na mnie czeka - pomyślał Hell, ale nie było mu jej ani trochę żal.

May podchwyciła jego myśli:

- Moja siostra Iri mówi, że ty co wieczór bywasz u tej zwariowanej baronówny. A może u tej artystki... Ja nie chcę, słyszysz? Czy to prawda?

- Ach, przecież to nic ważnego - odrzekł Hell.

Jednym ruchem ręki przekreślił Puk, odrzucił ją, jakby jej nigdy nic było.

- Co cię z nią łączy? Miłość? Flirt?

- Nic. Po prostu nic, May.

- Iri ma nosa do takich rzeczy. Iri jest okropnie zazdrosna o ciebie.

- Iri? Jak to: Iri?

- A właśnie, że tak! Podobasz się jej tak bardzo, że jest o ciebie zazdrosna. Wszystkie są o ciebie zazdrosne. Oszalały te baby, mówię ci!... Ilu lekcji dziennie udzielasz?



- Wczoraj były dwadzieścia trzy. Aż mi ręce ścierpły od tego drążka.

- Widzisz: możemy się założyć, że połowa twoich uczennic już umie pływać, tylko się jeszcze uczy z kokieterii!

May podniosła z ławki gałązkę jodłową i ze złości zaczęła ją szarpać zębami.

- Ładna kokieteria! - zaśmiał się Hell. - A czy i ty nie jesteś czasem zazdrosna?

- Ja? Ani trochę! Nic jestem jak staroświecka! Ja... to śmieszne! Uważasz mnie za kokietkę?

- Ciebie? Nie przyszło mi to do głowy.

Nagle May poczuła dwie gorące łzy w kącikach oczu.

- Przychodzisz do mnie i całujesz mnie tak prosto z mostu... nie, ty musisz tak myśleć... tak! Nic będziesz wierzył. Ale ze mną to nie idzie tak łatwo. Może to głupie... ale ja nie potrafię tylko tak, ot, dla zabawy. Ja idę „na całego”, na serio... widzisz, taka to ze mną historia. Nudne... co?

Odsunęła się od niego trochę, spojrzała błagalnym wzrokiem i czekała. Ptak przefrunął miękko w powietrzu, w dole zaparskał parowóz - pociąg (jedenasta dwadzieścia siedem) zamigotał na stacji, malutki jak zabaweczka.

- Na sezonowy flirt się nie nadaję, nie nadaję się... wcale... I chłopięcy głos May załamał się w połowie zdania.

Położyła głowę na ramieniu mężczyzny. Hel! siedział w milczeniu, od czasu do czasu poklepywał wzdrygające się od płaczu plecy dziewczyny. Słuchał, jak łkała - było mu tak, jakby wszystko się w nim wywracało ze współczucia. Raz, kiedyś już przeżył coś podobnego: gdy po tysięcznych nieudanych eksperymentach, po półtorarocznych chybionych usiłowaniach po raz pierwszy błysnął ślad wynalazku, pierwszy dowód, że dotąd kroczył właściwą drogą. Zobaczył wąski metaliczny pasek bez szwanku unoszący się nad

plamieniem, odrobinę niebieskawo zabarwiony... i palce mu zadrżały...

Otoczył ją drugim ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze z nami, May - rzekł. - Wszystko w porządku! Sezonowy... Ha! zaśmiał się. - Nie, moja dziewczynko, moje kochanie, między nami będzie już na zawsze. Wiedziałem o tym od początku.

- Masz teraz taki głęboki głos, jak stary człowiek - powiedziała May. - Zmartwiłeś się? Wiem, wiem, że ty mnie... Ty jeden jedyny odróżniasz mnie od Iri. Innym jest wszystko jedno, która z nas. I po tym poznałam, że między nami będzie to... to właściwe... Chodź!

I podała mu swe wyczekujące usta. Ciało jej pachniało brzoskwinia, jak ciało dziecka. Hell pogrzył się w jej ustach, jak w przepaści. W dole, na jeziorze mignęła spóźniona łódź.

## Rozdział 4

Dwa razy dziennie listonosz przechodził przez plażę, wymachując ze współczuciem próżnymi rękoma pod adresem trenera. Dwa, a czasem trzy lub cztery razy dziennie Maks, oderwany od swych obowiązków, to jest od mokrych ręczników, pędził kłusem na pocztę. Już z daleka pokazuje swe umazane brudem łapinki i woła:

- Nie ma nic, panie doktorze!

Rano, o siódmej nieraz i sam Hell skoczy na pocztę, jako że o piątej dwadzieścia trzy przychodzi pociąg. A wieczorem, nim się spotka z May, wpada jeszcze raz na chwilkę.

- Nie ma nic, niestety - oznajmia panienska z okienka i rzuca mu spojrzenie, pełne zrozumienia i sympatii.

Hell udaje, że go to nic nie obchodzi i, pogwizdując, idzie po promenadzie zwykłym krokiem. Jego spodnie lśnią nieposzlakowaną białością.

Tak. Hell posiada białe spodnie. To symbol. Symbol jego miłości, to flaga sygnalizacyjna jego uczuć, to termometr namiętności... A bo to można dzień w dzień i wieczór w wieczór „pętać się” obok najładniejszej i najelegantszej dziewczyny w Frauensee i mieć na sobie te same pogniecione, przykrótkie granatowe spodnie ze „świętecznego” ubrania? Podczas gdy panowie hrabiowie, rozmaici Bobby i inni dżentelmeni paradują w efektownych ubraniach plażowych?...

Hell dał się ostrzyc.

Hell nosi w kieszonce granatowej marynarki białą chusteczkę, jedwabną z wystającym rożkiem.

Jeżeli pogoda będzie w dalszym ciągu dopisywała i jeśli uczniów nie zabraknie, być może, Hell do reszty zrujnuje się na parę pantofli tenisowych. Tymczasem mamroce coś niewyraźnie na usprawiedliwienie, gdy May zaprasza go na kort po jego godzinach pracy.

To, że udziela lekcji pływania - niech uchodzi za nonszalancki kaprys w oczach kochanej dziewczyny. I May - dobra, mądra, przyzwoita - przyjmuje tę fikcję z taktem i subtelnością...

- Myślę, że on musi być okropnie biedny... to o to chodzi!  
- mówi wieczorem May do Iri. Siedzi przed lustrem i zaczesuje swe krótkie włosy od tyłu ku przodowi, przez pięć minut, a później znów od przodu ku tyłowi - aż każdy włoszek przekształca się w złocistą, lśniąca nitkę jedwabiu.

- Jest biedny... tak biedny, że my sobie nawet wyobrazić nie potrafimy. I dlatego mam tyle szacunku dla niego. To mi imponuje. Widzisz - ciągnie May i czubkiem palca podrzuca ranny pantofelek na nodze - taki chłopiec sam jak palec wybija się tylko dzięki sobie. Nie ma ani tatusia dyrektora banku, ani wujka radcy, jak ci wszyscy Bobby i reszta! Jest ubogi, rozumiesz? To coś zupełnie innego! Tańczyłaś z nim? No, jak...?

- Piątka z plusem! Wiesz, mógłby dobrze zarabiać jako fordanser! Po co się męczy z niezdarnymi dzieciakami i z grubymi babskami w tej pływalni, kiedy mógłby...

- Co leż ty mówisz! Fordanser!... Fe!... To się nie liczy towarzysko!

- A trener... się liczy?

- Uważam, że tak. Przecież to także sport. Skoro klub „Austria” nie ma nic przeciwko temu...

- Właśnie w tym sęk, czy nie ma nic przeciwko temu...

- Czwartego sierpnia startuje w zawodach pływackich, stylem dowolnym na 1500 metrów, u nas, w Berlinie. No, więc?... Nie psuj mi humoru, Iri, proszę cię!

- Ja? Tobie?...

Urażona Iri przechyliła się przez poręcz balkonu, za którym widać ciche i ciemne jezioro.

- Ja tobie?... Przez cały wieczór staram się być parawanem dla ciebie, żebyś mogła sobie robić z twoim chłopakiem, co zechcesz... a ty mówisz, że ja ci psuję humor! Przepadasz na całe godziny, a ja muszę raz. występować jako May, a raz jako Iri, żeby się tato nie połapał...

- Niech się połapie! - rzuca May zapalczywie.

- Czekaj, czekaj! Już się połapie! Będzie z tego ładny pasztet. Wiesz, że tata jest porywczy.

- Właśnie, że się nic boję! Tata będzie się tylko cieszył, że mam taki dobry gust! Tata sam także zaczął od małego. Zawsze mówi, że ma szacunek dla tych, którzy idą o własnych siłach. Dopiero teraz zaczął dążyć do arystokracji, odkąd go len hrabia Sztereny zaszczyca swoim towarzystwem. Tata zgrywa się na lorda, nic uważasz?

- Wobec hrabiego czy wobec hrabiny?... Słuchaj, w gruncie rzeczy będzie mu wszystko jedno: przecież i tak nie wyjdiesz za mąż za tego nauczycielinę!

- Właśnie, że wyjdę - oznajmia May kategorycznie i potwierdza swą decyzję ruchem głowy. - Oczywiście, że wyjdę! Może znasz lepszego, co? Chociaż chodzi ubrany, że pozał się Boże - w wytartym ubraniu i w taniutkich butach - mimo to wygląda jak księżę wobec innych... może nie? I jest inżynierem. Tata mógłby go wpakować do fabryki, potrzeba nam przecież zdolnych ludzi, no, nie? I ja zarabiam, też mam swoją pensję za to, że prowadzę angielską korespondencję dla lady. Wielkie mieszkania są niemodne, weźmiemy sobie po prostu pięć pokoi. Jeżeli będę miała jeszcze małą maszynkę i motorówkę na Wannsee, będę się czuła zupełnie zadowolona. Nic sobie nie robię z nędzy!

- A czy on jest naprawdę zdolny, May?

- Tak przypuszczam. Opowiadał mi o jakimś wynalazku, który chce zrobić, tylko nie mówił jaki. Czeka na jakiś list. Czasem jest taki zdenerwowany, że ten list nie przychodzi...

ojej, mówię ci, mało mnie nic pogryzie! Może się trochę przechwała. Chce mi pewno zaimponować... Ale zdolny jest z pewnością. Wyjdę za niego. I basta.

W tym samym czasie Hell - z sercem pełnym tęsknoty - wałęsał się pod balkonem tak długo, dopóki widział żółtawe światło poprzez firanki...

Potem wolnym krokiem poszedł do domu. „Dom” to była malutka izdebka, tuż obok kabiny numer 26 w budynku kąpieliska pana Birndla. W progu uderzał się zwykle w głowę - po czym przypominał sobie, że należało się pochylić ze względu na wymiary mieszkania.

Wnętrze zawierało łóżko polowe, stół i krzesło. Na wieszaku wisiała garderoba Hella. Na stole stał dzban z mlekiem i talerzyk z owocami, które wypełniały swym aromatem całą izdebkę.

W kącie mieszkał pająk, którego widok sprawiał mu zawsze radość. Pająk wieczorem przynosi szczęście... Hell ostatnio zrobił się bardzo przesądny, to skutki tego przekłętą czekania na list - na list, który nie przychodził. Ta sprawa ważna, nawet bardziej niż ważna. Ale teraz, kiedy chodziło o wszystko - kiedy szło o to, by zdobyć May, rozpieszczoną córkę bogatego pana Lyssenhopa - teraz wszystko zależało od tego listu.

Należy dodać, że w tych dniach Hell otrzymał jednak pocztę, aczkolwiek nie było w niej owego listu, na który czekał. Była na przykład widokówka z Linz, wszere i wzdłuż pokryta podpisami z wiadomością, że drużyna footballowa Klubu Sportowego „Austria” pobiła „tutejszych gości” a stosunku 8:3.

Pewnego dnia Maks przyniósł mu z poczty kopertę. Hell rozerwał ją, przeczytał kartkę i zasiadł strapiiony, zawiedziony na brzegu łóżka. Bo list był taki:

Dlaczego nasz przyjaciel już do nas nie przychodzi?  
Jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. I płacemy po nocach.

Puck von Dobbersberg. Tygrys von Dobbersberg  
Pod podpisem Tygrysa widniał odcisk psiej łapy.

Hell podniósł głowę - wzrok jego padł na pająka, który w kącie snuł swą złą, jadowitą sieć. Pająk rano przynosi nieszczęście... - pomyślał stroskany.

We Frauensee zapanował wielki ruch.

Na parkanie obok kościoła, na murach „Grand Hotelu”, przy wejściu do „małego” Petermanna wisiały plakaty obok plakatów: zabawa na plaży, reunion, bal z ogniami sztucznymi, turniej tenisowy z nagrodami. Jednym słowem - sezon.

Pan Birndl siedział w kasie i zgarniał pieniążki grubymi paluchami. Na kąpielisku było pełno i trener stał przez cały dzień na pomoście, przez dwanaście godzin bez przerwy. Czasem była ładna pogoda, czasem kiepska - pot ściekał mu z czoła, słońce piekło, co kwadrans rzucał się do wody długim, płaskim skokiem, aby ochłonać od żaru. A niekiedy dał zimny wiatr, padał grad lub siąpił deszcz. Hell dreptał po plaży, otulony przemoczonym płaszczem kąpielowym, i dygotał z zimna.

Turniej tenisowy odbył się bez udziału Hella, któremu nie udało się kupić pantofli. Nawet nie miał czasu, by się przyjrzeć rozgrywkom. Tego dnia było gorąco, okropnie gorąco. Nad Żelaznym Zębem wisiała ogromna chmura, z której wieczorem lunęło. Mógł co najwyżej obserwować korty z daleka.

Gdy raz piłka przebiegła nad ogrodzeniem i wpadła do wody, Hell rzucił się, popłynął czałem w rekordowym tempie, wydobył piłeczkę i wspaniałym rzutem cisnął ją na kort. Otrzymał za to brawo, to prawda. No, ale...

Wieczorem z tytułu tego turnieju organizowano bankiet w „Grand Hotelu”. Hell poszedł, bo May sobie tego życzyła. May miała na sobie srebrzystopopielatą sukienkę i srebrne pantofelki; wyglądała tak, że Hellowi aż w oczach się zaćmiło od zachwytu. Patrzył na nią olśniony.

Panowie byli w smokingach. Hell w granatowym ubraniu i w brązowych półbutach. Garderoba jego wskutek częstego użytku, wskutek ustawicznych deszczów i wskutek wieczornych spacerów po lesie - mocno utraciła na świeżości.

Następnego dnia właściciel hotelu Petermann powiedział portierowi Eggenhoferowi, pan Eggenhofer powiedział panu Birndlowi, a pan Birndl już postarał się, by dotarło to do Hella: że teraz w „Grand Hotelu” panuje nowa moda i że nie jest rzeczą pożądaną, aby nauczyciel pływania wiecznie tam się szwendał. To hotel bardzo ekskluzywny, po co ludzie mają gadać czort wie co. A na reunion będą dopuszczeni tylko panowie w smokingach, właśnie ze względu na ekskluzywność. I dlatego też bilet kosztuje dziesięć szylingów, żeby nie mógł przyjść byle kto.

Hell wpadł we wściekłość, gdy mu o tym doniesiono. Wargi mu zbieleły z pasji.

- Weź stoper i siadaj do łodzi - mruknął ochryłym głosem do May. - Jestem teraz w takim humorze, że muszę zdobyć rekord!

May - przerażona - wsiadła ze stoperem Hella w ręce do „balii”, Maks wiosłował.

Hell wystartował i „zrobił” trasę 1500 metrów w czasie dwudziestu minut i trzynastu sekund. Łódź nic mogła za nim nadążyć. May aż podskakiwała z niecierpliwości i przejęcia. Hell pobił rekord Austrii, pobił nawet rekord Niemiec - jego czas był tylko o trzy sekundy gorszy od rekordu światowego.



Gdy May dobiła do brzegu, leżał wyczerpany, prawie nieprzytomny na piasku, obok przystani motorówek. No, ale komuż to potrzebny taki rekord... bez zawodów?

Wieczorem, na polanie ścisnął May w objęciach lak mocno, że omal jej nie zgniótł. Szarpał nią w porywie wściekłej miłości, obsypywał ją pieścizotami nieoswojonego młodego lewka.

May wróciła, wstrząśnięta tą siłą i rozkochaniem swego chłopca, do panińskiego pokoiku, obitego różową tapetą i pachnącego lawendą. - No? - spytała Iri, siedząc przed lustrem, z twarzą nasmarowaną kremem.

- O, na męża dla ciebie on nic nadawałby się ani trochę - rzekła May i zgasła światło.

Hell poszedł chmurny do „Grand Hotelu” i zażądał głośno karty wstępu na reunion.

Pan Eggenhofer wręczył mu ją, sam pan Petermann stał obok i udawał, że nie dosłyszy. Hell położył dziesięć szylingów na stole.

Teraz szło tylko o jedno: za wszelką cenę na wszelki wypadek postarać się o smoking. Może list z milionami przyjdzie jeszcze przed reunion, to była jedyna możliwość. Hell krążył po swojej izdebce i rachował kroki: tak - nie, tak - nie. Potem liczył guziki, potem szukał proroczego pająka, słowem otoczył się wyroczniami ze wszystkich stron. Nie. List nie przyjdzie. Trzeba coś przedsięwziąć w kwestii smokingu, samo wyczekiwanie nic nie pomoże.

Smoking leżał w lombardzie. Wykupienie kosztowałoby pięćdziesiąt dwa szylingi.

Hell zasiadł na platformie skoczni - tylko tu w popołudniowej porze można było znaleźć trochę cienia - i rozmyślał nad tym, kto by mógł mu pożyczyć pięćdziesiąt dwa szylingi. Wśród mężczyzn miał tylko jednego przyjaciela, to jest - Maksa. Inni odnosili się do niego z

pogardliwą zawiścią, albo też wyraźnie wrogo. Wszyscy mieli córki, żony, narzeczone, czy „flirty”, jednym słowem jakieś kobiety, których spokojowi zagrażała obecność i istnienie Urbana Hella.

\* \* \*

Wieczory w Frauensee są wyjątkowo piękne. W doliny zapada cień. Nad jeziorem przelatują srebrzyste roje komarów. Kontury przedmiotów zarysowują się jasno i czysto na tle nieba. Każdy dźwięk brzmi donośnie w ostrym powietrzu i cisza wydaje się jeszcze bardziej cicha.

Szczyt Żelaznego, Zęba iskrzy się czerwonym i złotym blaskiem nad błękitem lodowców. Na trasach nad jeziorem, przy lunetach, stoją letnicy i patrzą w górę. Wkrótce to widowisko skończy się, już od strony Dobrych Braci wieje mroźnym, nocnym chłodem.

Hell płynie motorówką po szklistym jeziorze. Wysiada na przeciwległym brzegu i idzie ścieżką wśród zarośli, pachnących nasturcją i miętą - ścieżką wiodącą do zameczku Dobbersbergów. W ciągu lata poznał bliżej z tutejsze obyczaje. Wie, jakim chwytem należy odsunąć zasuwkę w furtce ogrodowej i Tygrys wybiega mu na spotkanie, szalejąc z uciechy. Tu jest tak cicho, tak jakoś inaczej. Tu jest drugi brzeg. Na ten drugi brzeg przybija Hell w złe wieczory: kiedy już nie może wytrzymać z głodu. Albo kiedy May tańczy z innymi. Albo kiedy May jest na jakiejś wycieczce automobilowej. Albo kiedy przyjdzie chwila słabości i Hell zaczyna wątpić, czy kiedykolwiek nadejdzie list od adwokata...

Puk przybiega - ubrana w „chłopkę” wygląda, jak wiejska dziewczyna.

- Masz takie zimne ręce... co ci jest? - pyta. Puk jest rozgrzana, ciepła, radosna.

- Zbieraliśmy dziś siano na łące - opowiada. - Wiesz, w czasie sianokosów jestem jak pijana! Jak to przyjemnie tak położyć się na wozie drabiniastym, tak się kołysać i bać się, że lada chwila można spaść...

Tygrys liże gorącym językiem dłoń Hella.

Hell, blady i zmęczony, pyta, czy nie mógłby się zobaczyć z baronem.

- Tata ma dziś podwyższoną temperaturę - mówi Puk. - Tata cię bardzo lubi. Wszyscy się cieszymy, gdy do nas przyjeżdżasz. Prawda, Tygrysku?

- Puk, muszę z tobą pomówić serio - rzekł Hell i pociągnął ją za sobą na ławkę. - Powiedz mi: jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja?

- Tak - odrzekła Puk, splatając dłonie i spojrzała na niego z wyrazem oczekiwania.

- Pomogłabyś mi, gdybym czegoś potrzebował, Puk? Nie chciałbym cię prosić... Wierz mi, wcale nie jest mi łatwo - mówił Hell, podnosząc z ziemi robaczka świętojańskiego. Posadził go sobie na wnętrzu dłoni; robaczek świecił zielonkawo, jak miniaturowa latareczka.

- No, mów już - wyszeptała Puk. Hell słyszał jej przyspieszony oddech.

- Mam wielkie zmartwienie, Puk, rozumiesz?

- Tak - odrzekła suchym, załamującym się głosem.

Czekała jeszcze przez chwilę, potem naraz przyłożyła obie dłonie do twarzy i zaczęła cichutko płakać. Płakała tak, jak Hell jeszcze nigdy nie widział, tak cicho, tak łagodnie, tak bez wysiłku; łzy płynęły i płynęły jej poprzez palce, jak letnia ulewa. Potem odjęła ręce od twarzy i uśmiechnęła się znowu. Hell zobaczył to w blasku rzucanym przez świetlika.

- Bo ty wolisz inną - wytłumaczyła ledwo dosłyszalnie.

- Jak to? Jaką inną?

Było mu jej serdecznie żal - wyglądała tak dziecinnie, z rączkami umorusanymi czerwonym sokiem porzeczkowym, mokrymi od łez, całymi w bąblach od komarów. Przyciągnął ją do siebie i osypał pocałunkami - lekkimi, delikatnymi pocałunkami. Czuł się wzruszony. Ale to wszystko razem nic nie pomogło.

- Potrzeba mi pieniędzy, Puk - rzekł w końcu z determinacją.

- Ile? - spytała z prostotą.

- Pięćdziesiąt dwa szylingi. Mogą być i pięćdziesiąt trzy - odpowiedział Hell. W piersiach zrobiło mu się szeroko i przestronnie od głębokiego wdechu...

- Zaraz - zawołała Puk, zerwała się z ławki i pobiegła w stronę domu.

Hell pospieszył za nią. Zaczekał w hallu. Serce mu biło mocno. Słyszał na górze jakiś rumor - to Puk szamotała się z Tygrysem - otwieranie i zamykanie drzwi, czyjeś głosy. Po kilku chwilach Puk zbiegła ze schodów i oznajmiła radośnie: - Już mówiłam z mamą. Ja sama nie mam pieniędzy. Mama da ci chętnie, ale musisz iść do niej.

O psiakość!... - pomyślał Hell, i aż zagryzł wargi z tłumionej pasji.

- Tylko zachowuj się cicho. Mama ma migrenę - przestrzegala go Puk, otwierając przed nim drzwi i wpychając go do pokoju.

Teraz stał w sypialni Kamilli Bojan, by ją prosić o pożyczkę pięćdziesięciu dwóch szylingów. Pani Bojan obawiał się bardziej niż kogokolwiek. Umiała z nim postępować w sposób zgoła szczególny. Gdy wchodził do pokoju, zachowywała się tak, jakby go nie dostrzegala. A potem - zaczynała patrzeć na jego usta. Potem - na kark. Potem - na ręce. I usta, kark i ręce zaczynały płonąć. Ale najgorsze było to, że śniła mu się po nocach. Śniła mu się

bezwstydnie - rudowłosa, śnieżnobiała, w kostiumie Pierrota... Kamilla leżała w łóżku. Ale takiego łóżka Hell, jak żyje, nie widział. Zwisało na złotych sznurkach spod sufitu, jak hamak, jak gondola miłości. Po jednej i drugiej stronie tego łoża stały wysokie świeczniki - wyglądało to jak dekoracja w teatrze.

Kamilla wyciągnęła do niego znużoną białą dłoń, obnażoną aż po ramię. Na piersiach różowiły się przejrzyste koronki, z gondoli również zwisały kaskady koronek. Hell nie przypuszcza!, że takie rzeczy mogą być w życiu, nie na filmie.

- Dzień dobry, doktorze - odezwała się Kamilla słabym, matowym głosem. - To ładnie, że pan znów do nas zawitał. To ładnie - powtórzyła, spojrzała na niego i pograżyła się w zamyśleniu.

- Pozwoliłem sobie... właściwie, Puk mi mówiła... - jąkał się Hell.

- Ależ oczywiście! Pieniązków trzeba, trzeba naszemu chłopczykowi, któregośmy wyłowili z jeziora. A co by to było, gdybym była taka niedelikatna i zapytała: a na co? Bo ja jestem z usposobienia bardzo ciekawa. Pan jest człowiekiem, doktorze, który potrafi zaintrygować kobiety. Wie pan o tym?

Hell wymamrotał jakieś słowa przeczenia. Za nic na świecie nie przyznałby się do tej zatraconej historii z zastawionym smokiem.

- Mam pewne zobowiązania... chwilowo jestem w tarapatach - bąkał. - Poczta tak kiepsko funkcjonuje w Frauensee...

Pani Bojan milczała.

To milczenie trwało kilka minut i te minuty krążyły w powietrzu, wirowały, pachniały wonią kobiety i gorzkich perfum, tańczyły nad Hellem, przygniatały swym ciężarem i nieuchwytną groźbą bliskiej katastrofy.

Jak pociąg, jak pożar, jak lawina...

To nonsens! - uspokaja! siebie Hell, choć szumiało mu w skroniach. - Jakoś wybrnę, jakoś dam sobie rady... Tylko nie ruszać się z miejsca!

Stał sztywny jak kij obok łóżka Kamilli. Wybrnął. Była bardzo niebezpieczna sytuacja, ale mimo to wybrnął. Pani Bojan, która widać lubiła efektowne sceny i czuła ich potrzebę, malowniczo ułożyła nagą rękę na kołdrze. To lalo bez teatru już nazbyt dokuczało jej swą monotonią. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę i przybrała bolesny, „madonnowaty” wyraz twarzy.

- Proszę, niech pan pójdzie do mojej gotowalni, z lewej strony jest szafa. Na górnej półce leży moja torebka - . powiedziała znużonym głosem.

Hell powędrował w kierunku, wskazanym jej ręką, znalazł się w przyległym pokoiku, pełnym zapachu perfum i dobrze utrzymanej kobiety, pełnym atmosfery tysięcznych kuszących, tajemniczych kobiecych drobiazgów. Szperał po omacku w wielkiej szafie, gdzie wisały suknie. Wreszcie, pomiędzy jedwabnymi koszulkami znalazł szukaną torebkę - czuł, że ma sumienie nieczyste wobec May, tak jakby jej robił krzywdę. Z daleka, nic dotykając łóżka, położył torebkę na kołdrze.

- Proszę, niech pan sobie weźmie - rzekła Kamilla drwiąco.

Patrzyła uważnie przymrużonymi oczyma, jak bierze drżącymi palcami torebkę i jak w niej niezgrabnie szpera. Nie ułatwiła mu tego zadania - sprawiało jej to złośliwą przyjemność, że ten niedostępny Apollo taki był zaambarasowany.

Gdy Hell wreszcie zebrał pięćdziesiąt dwa szylingi w banknotach i miedziakach, poczuł, że włosy ma lepkie od potu. Kamilla uśmiechnęła się.

- A poza tym... pan sobie nie życzy ode mnie niczego? - spytała. - W takim razie dobranoc. Puk czeka. Spokojnych snów.

Te słowa zabrzmiały szczególnie perfidnie - rzekłbyś, wiedziała, że Hell śnił o niej po nocach...

Kamilla znów wynurzyła ramię spod kołdry i wyciągnęła do niego.

- Dziękuję bardzo. Dziękuję... - mówił Hell ugrzeczniony, nachylił się dwornie nad jej gładką, gorącą dłońią i ucałował.

Ale ten pocałunek wypadł inaczej, niż by sobie życzył: dłoń, którą podniósł do ust, obróciła się wnętrzem i przywarła, przyssała się do jego warg, jakby to była nie dłoń lecz usta. Potem po jego twarzy prześlizgnęło się białe ramię, znaczone błękitnawymi żyłkami, gładkie jak gorące szkło i otoczyło jego szyję. Nie wiedział, jak to się stało... naraz ręce jego zaplątały się wśród koronek, a czyjeś usta pochłoneły jego usta. Z szaloną szybkością spadał, porywała go jakaś otchłań, nie wiedział, naprawdę nie wiedział, jak to się stało. Nie - myślał sobie. - Nie. Nie.

Oderwał się, szarpnął - usta, dłonie, całe ciało. Zatoczył się.

- No i? - szepnęła Kamilla z przymkniętymi oczyma.

Hell zbierał rozsypane miedziaki - a po chwili już go nie było w pokoju.

Przed drzwiami warował Tygrys - zły, podrażniony, z zielonymi ognikami w źrenicach.

- Lepiej byłoby mi siedzieć na gorących żużlach, Tygrysku - zwierzył mu się Hell i pogładził cętkowaną sierść psa.

Dzień przed reunion Hell otrzymał list następującej treści:  
Kochany chłopcze!

Dziękuję Ci bardzo za pięćdziesiąt dwa szylingi. Niestety, smoking przepadł jeszcze sześć tygodni temu, bo nie

płaciliśmy procentów, więc za przysłane pieniądze wykupiłam twój rower. Myślę, że mądrze zrobiłam ?

Baw się dobrze na balu i uważaj, żebyś się nie przeziębził. Nie pij wody, kiedy będziesz zgrzany po tańcach.

Całuję Cię. Twoja Kochająca Matka.



## Rozdział 5

May Lyssenhop i Urban Hell siedzą na skoczni i strasznie się kłóć. Siedzą wysoko, na samej górze, na trampolinie, skąd skacze się na dziesięć metrów, bo tam im nikt nie przeszkadza. Z dołu widać ich smukłe, wysportowane figury jako małe i ostro zarysowane na tle nieba sylwetki. O dwa piętra niżej Iri ćwiczy skok w tył.

Na pływalni panuje cisza, jest godzina między pierwszą a drugą. Głuchoniema dziewczynka leży na piasku i gapi się w górę. Maks tapla się w jeziorze - chwalić Boga, pan Hell nauczył go pływać. Wątle, typowe ciało dziecka z sierocińca pluska się z lubością. Poza tym cisza. Zdania w sporze padają krótkie, urywane, biczujące.

- Ty jesteś tyran, to o to chodzi! Chcesz mnie tyranizować, chcesz mną komenderować, jesteś obrzydliwie zarozumiała! - mówi May, aż trzęsąc się z tłumionej pasji.

- Ach, tak, to ja jestem tyran? Ja, tak?... A wiesz, jaka ty jesteś? Jesteś płytka, powierzchowna i próżna i nie masz za grosz subtelności! - odpowiada Urban.

Głosy obojga drżą z gniewu i oburzenia.

- Dlaczegoś nie przyszedł na reunion? Przecież cię prosiłam! Byłabym tańczyła przez cały wieczór z tobą, tylko z tobą, słyszysz?

- A dlaczegoś nie zrezygnowała z tego reunion? Czyż ja cię nie prosiłem o to? Miałem swoje powody, żeby nie przyjść. Ale tyś poszła tylko przez upór, tylko dlatego, żeby mi zrobić na przekór.

- Kto jest uparty? Ty, tylko ty! Jesteś najbardziej upartym człowiekiem, jakiego znam!...

- Dobrze. Niech i tak będzie. Gdybym nie był uparty, to by mnie dziś wcale nie było, wierz mi!... Ale co ty tam rozumiesz...

- Czego nie rozumiem? Czy ty rozmawiasz ze mną o twoich sprawach? Zacinasz zęby, że aż trzeszcza, o, to ty potrafisz! I mogę sobie to tłumaczyć, jak zechcę. Dlaczegoś nie przyszedł na reunion? Powiedz mi, może zrozumiem?

- Miałem poważne powody. Nie mogę ci powiedzieć, jakie.

- Boże święty! - May wzniosła ręce do nieba. - Więc powiem ci, że znam przyczyny, których mi nic chcesz wyjawić! Mam ci powiedzieć? Czuję w tym jakąś kobietę. Tu cię mam!...

- Jaką kobietę, na miłość boską, May?... Co też ci do głowy przychodzi?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie znam wszystkich kobiet. Łażą za tobą jak zwariowane. Ta baronówna, czy ta hrabina, czy ta aktorka; a bo ja wiem która? To już moje szczęście, że za takim chłopakiem jak ty wszystkie latają...

- Przysięgam ci, May, że nie tknę żadnej, że nie patrzę na żadną!... Przecież ci przyrzekłem, iż nie będę zwracał uwagi na inną, a ja, jeśli coś przyrzekam, to dotrzymuję. Ale sądzisz, że z tobą mi łatwo?...

- Aha, widzisz? Więc skarżysz się, że ze mną ci trudno? I jeszcze ja jestem winna! Przecież robię wszystko to, co ty chcesz!

- Mówisz jak małe dziecko, May! Nie rozumiesz... Po pierwsze, mam wiele trosk... a poza tym, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, dziewczyno, że szaleję za tobą, że czasem jest mi tak, jakbym płonął... aż mi się chce po ścianach drapać...

- O czym ty mówisz?

- O czym? A o tym, że chciałbym cię... mieć! - wybuchnął Hell.

Tygodnie tłumionej namiętności i szalonego rozkochania wyrwały się w tym okrzyku, wyraziły w ściśniętych pięściach,

w złym, chmurnym wyrazie twarzy, w tych ochrypłych słowach: „Chciałbym cię mieć!”

May na chwilę zamilkła, zacisnęła wargi. Utkwiła wzrok w szorstkiej macie pokrywającej deski trampoliny.

- Mój Boże, dlaczego ty mi tego nie mówisz?... - zapytała wreszcie cicho i łagodnie. A Hell odrzekł równie cicho:

- Bo jakżeż to powiedzieć? Mam cię uwieść, czy jak?... Przecież wiesz... Powinnaś przyjść do mnie sama...

- Przecież przyszłam do ciebie sama - odpowiedziała May jeszcze łagodniej i jeszcze ciszej. - Jestem twoja...

- Cała?

- Cała. Mnie się nie pozbędziesz. Masz mnie na zawsze.

- Ładne „na zawsze"! Za miesiąc pojedziesz sobie do Berlina, a ja będę tu tkwił! Ot, flircik z trenerem i koniec, taka sezonowa miłośćka - powiedział Hell i okropnie sam się rozżalił nad sobą.

- Nie gadaj głupstw! We wrześniu przyjedziesz do Berlina, żeby startować; no, a polem zobaczymy, co będzie dalej. Może tymczasem nadejdzie ten osławiony list, o którym tak ciągle marzysz...

- May - rzekł Hell bardzo serio - powiedz mi jedno, czy ty mi wierzysz? Czy ty wierzysz, że od tego listu wszystko zależy? Czy tylko śmiejesz się ze mnie?

- No, muszę ci powiedzieć, że to co mi opowiadałeś, było cokolwiek mgliste. W cóż to ja mam wierzyć, czy nie wierzyć? Przecież ja nic wiem, o co chodzi! Ukrywasz to przede mną!

- Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, May. Ty jesteś mała, rozpieszczona dziewczyneczka, taka księżniczka w srebrnych pantofelkach i z własnym autem. Twój ojciec to jakby król, a ty... no, już wiesz sama. Nie mogę z tobą mówić szczerze o moich sprawach. Bo jak ci wytłumaczyć, co to są zmartwienia? Czy możesz sobie wyobrazić, May, czy

potrafisz to sobie wyobrazić, że ktoś może głodować, tak głodować, aż kurczy dostaje w żołądku i musi łykać ślinę, bo taki ma spazm w krtani? I w głowic pusto, a przed oczyma ciągle widzi mięso, nic, tylko pieczone mięso, jakby człowiek był nie człowiekiem, lecz psem...

- Czy i ty głodowałaś? - spytała May szybko.

I równie szybko odrzucił Hell:

- Ja? Nie. Skądże?

May ostrożnie przykryła swą dłońią dłoń Hella:

- Powiedz mi... powiedz mi prawdę!

- Znam na przykład pewną panią. Mąż - urzędnik państwowy - umarł, zanim dziecko przyszło na świat. I tak przebijając się przez życie sama, z synem, a całe jej zasoby stanowiła ta nędzna wdowia emeryturka. Trzydzieści dwa szylingi na miesiąc... Syn jej już jest dorosły, ale cóż, nie ma posady. Możesz sobie coś takiego wyobrazić, May? Jak żyją ci ludzie? Powiedz, jak sądzisz, w jaki sposób żyją ci ludzie?

- Urban, mów dalej...

- Są ludzie, którzy nie mają ani własnej willi, ani własnego auta, ani szpilek z prawdziwymi perłami do koszuli frakowej. Są tacy, którzy nie mogą wybrać się na bal, ponieważ posiadają jedno wyświechtane granatowe ubranie, z którego śmieją się kelnerzy. I jedną parę brązowych butów. A jak się dziura zrobi w podeszwie, to nie śpią po nocach i myślą: skąd wezmę na nowe zelówki? Jak zreperować te buty?... Co ci jest, May?

- Nic, nic... Już dobrze, już uśmiecham się przecież... Nareszcie zaczęłaś mówić o sobie!... Mów, mów dalej...

- Wyobraź sobie, że w tych ludziach tkwi jakiś upór, ambicja czy siła, nazwij to jak chcesz. Bo inaczej znaleźliby się szybko pod wozem. Więc muszą walczyć. Rękami i nogami. Człowiek, wytrenowany przez nędzę, wytrzyma diabelnie dużo. Kto ma prawdziwą wolę, ten wiele może

działać. Ale na sprawach technicznych ty nie znasz się wcale i ja ci nie potrafię tego objaśnić. - Hell spojrział w dal, aż na tamten brzeg jeziora.

Na wodzie zaturkotała motorówka.

Iri leżała na piasku, z góry wydawała się mała i niepozorna - spoczywała bez ruchu. Może spała. May pochyliła się i zajrzała w twarz Hella.

- No, a teraz pozwól i mnie coś powiedzieć - odezwała się swym głębokim, łamiącym się głosem.

- Myślałeś o mnie brzydko i źle, Urban. Sądzisz, że dlatego, że my mieszkamy w „Grandzie” i że mamy auto, i że ja się pętam z rozmaitymi bubkami od tenisa, to już nic nie jestem warta?... Ale przecież to są tylko wakacje, jesteśmy w Frauensee, a nie w mieście. Ty jesteś tutaj trenerem, za którym baby latają jak wściekłe, ale w twoim mieście jesteś inżynierem, który co nieco potrafi. A ja tu jestem głupią gąską, która przez cały dzień leniuchuje, ale w Berlinie jestem angielską korespondentką w przedsiębiorstwie „Bawamag”, a to także nie byle co!... Pracuję przez osiem godzin tak jak każdy przyzwoity człowiek i bynajmniej nie żyję na Księżycu, tak jak ty sobie wyobrażasz. Tata ulokował mnie w biurze personalnym, za rok powędruję do innego wydziału. Miałam sposobność zetknąć się z naszymi pracownikami. Na technice nie znam się, to prawda, ale spróbuj mi wyjaśnić. Tata objaśnia mi budowę wagonów i jakoś to idzie, kapuję wszystko...

Hell dał odpowiedź, która niewiele wspólnego miała z tematem:

- Jakie ty masz złociste oczy, May! Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Wiesz, jakie było pierwsze zdanie, słyszane z twoich ust? „Ja na przykład wolę gorzką”, powiedziałaś. I wtedy zaraz coś mnie tknęło...

- Mów dalej, mów!... - May dała mu klapsa po rękę.

- Dobrze, do rzeczy! Więc idzie o wynalezienie niepalnej, taniej taśmy filmowej. To jest bardzo ważna sprawa, która ma przed sobą wielką przyszłość. Dotychczasowe próby z żelatyną i z celuloidem... to wszystko za drogie. No i ja wynalazłem coś innego, May...

- Ty?... A to cudownie! No i co teraz?...

- Teraz muszę czekać. Wynalazek poszedł do opatentowania. Pewien wielki koncern filmowy nim się zainteresował. Czekam na odpowiedź. Ale to na razie sekret, May.

- Cudownie! Jak długo to może trwać? Jak długo czekałeś? Czy z pewnością twój wynalazek bardziej się nadaje do użytku niż inne?

- Z pewnością! Doszedłem do moich wyników na zupełnie innej drodze. Mój film jest nie z celuloidu, lecz z papieru. To ma ogromne widoki na przyszłość. Za dziesięć lat będzie można abonować sobie filmy tak jak się dzisiaj abonują czasopisma. Zobaczysz!... Z dnia na dzień czekam na odpowiedź. Ale czekam już dosyć długo...

- No, jak długo?

- Mniej więcej... niedługo będzie rok - wyznał Hell po chwili wahania.

- Prawie... rok? - powtórzyła May zawiedziona. Oboje zamilkli.

Gdy Hell wykrztusił z siebie wszystko, opowiedział o swojej nędzy i o swoich nadziejach, poczuł się jakby opróżniony z wszelkiej treści. Mimo słonecznego południa doskwierało mu uczucie zmęczenia, dziwnego chłodu w kościach i mdłości. Chwilami ogarniał go wstręt, gdy zaczynał myśleć o swoim wynalazku. Było to już tak dawno - niepokój i lęk oczekiwania tak w nim postrzępiły wszelką radość, że zostały z niej tylko znikome włókna.

Gdy tak siedział w jasny dzień obok May i mówił o tym - po raz pierwszy - głośno, jasno i wyraźnie, sam sobie wydawał się krętaczem i kombinatorem. To, co mówił, było niewątpliwie prawdą, ale nie wierzył sam sobie. I miał wrażenie, że i May mu niedowierza. Zamilkła spoważniała; nawet pomiędzy jej ślicznymi brązowymi brewkami wyrosła zmarszczka zamyślenia.

- Posłuchaj! - zawołała naraz żywo. - Czy nie chciałbyś pogadać o tej sprawie z tatą? Tato dużo wie i umie. Może tymczasem mógłby cię ulokować gdzieś u nas w fabryce? Albo słuchaj, może chciałbyś się ze mną ożenić?

- Tak - wyszeptał Hell schrypniętym głosem.

- No, widzisz!... Z ciebie trzeba wszystko wyciągać. Więc pogadaj z tatą.

- Właśnie dlatego tak rozpaczliwie wyczekuję listu, May. Przedtem nic mogę mówić z twoim ojcem. Nie, nic pójdę do pana Lyssenhopa w podartych butach prosić o rękę jego córki. Możesz być pewna, że tego nie zrobię!

- Człowieku, gdzież ty masz prosić o moją rękę! Jesteśmy przecież dorośli i sami o sobie decydujemy. Grunt, że my jesteśmy skłonni się pobrać... Myślałam, że ty tylko tak sobie porozmawiasz z tatą...

- Jak będzie list - odrzucił Hell lakonicznie.

- O Boże, co za uparty kozioł! - westchnęła May. - Zgoda. Poczekamy na list. A kto to mówił, że już nic może wytrzymać?...

- May, wiesz, w słońcu jesteś cała złota. Włosy i oczy, i całe ciało... Wszystko jest złote. Moja złota May.

I oczy mu się powlokły mgiełką rozmarzenia.

O mój kochany - myślała May - mój drogi, kochany chłopcze, jaki ty jesteś powolny i ocieężały, dobry, i głupi... Wszystko trzeba zrobić za ciebie...

Odwróciła głowę i długo patrzyła na wodę, po której migotały srebrzyste iskierki.

- Wiesz, kochanie - rzekła cicho - mam myśl: pojedziemy razem na wycieczkę. Pójdziemy na Żelazny Ząb, a potem przez Ciernistą Grań aż na Łysą Szczerbę. Zrobimy to mniej więcej w trzy dni. Trzeba będzie dwa razy przenocować: raz w schronisku, a raz w gospodzie. Postaram się, żeby mieć czas na tę wycieczkę... i ty postaraj się także. Chcesz?

Gorąca fala oblała jej dziewczęce policzki i odpłynęła po chwili.

Hell zbladł, także. Serce stanęło w piersi na sekundę, wargi zbieleły. Mówić nie mógł - coś jakby stłumiony krzyk utknął w gardle. Więc tylko nisko pochylił głowę.

Śpiewało w nim: May, May... nowa May, kochanka May, przyjaciółka, dziewczyna, żona...

I już z nią wędrował po górach i te noce pachniały mu już bliskością... May nie patrzyła na niego - być może, iż miała wilgotne oczy.

- Widzisz, do czegośmy doszli w naszej kłótni? - odezwała się po chwili z uśmiechem. - Ale już teraz zgoda, co? Raz na zawsze, prawda?

- Tak - odrzekł Hell. - Raz na zawsze.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu na trampolinie i huścili nogami.

Jeziro rozpościerało się ogromne w skwarze południa, prawie bezbrzeżne, w pionowych promieniach słońca pryskało białymi ognikami.

May wstała, wyprostowała się, podeszła do skraju trampoliny, która ugięła się elastycznie pod ciężarem jej ciała. Wspięła się na palec.

- Chodź - rzekła. - Skoczmy razem.



- Wiesz, May, że ja w skokach nie jestem najlepszy - bronił się Hell, ale mimo to wstał i przeciągnął się, napinając wszystkie mięśnie.

- Chodź! Spróbuj. Zobaczysz, że ze mną ci się uda. Przez chwilę patrzyli sobie z uśmiechem w oczy.

- No teraz: hop! - zakomenderował Hell.

I po sekundzie wystrzelili pięknym łukiem w powietrze, zwarci uściskiem, i skoczyli w wodę, rozkosznie zimną, zielonkawą, srebrzyście spienioną.

Tak to wyglądały zaręczyny May Lyssenhop z Urbanem Helleni.

## Rozdział 6

Przez trzy dni padał deszcz. Na promenadzie było pusto. Na plaży pusto. Na pływalni pusto.

Elegancy goście mieszkający w „Grand Hotelu” Petermanna, jak na przykład pan dyrektor Wucherpfennig, Bobby lub rodzina pana Lyssenhopa siedzieli w domu i byli niewidoczni dla nikogo.

Dobrze. Niech tak będzie. Hell spacerował pogwizdując. Zachowywał się tak, jak gdyby była najpiękniejsza pogoda. Kilka razy dziennie opuszczał pływalnię i udawał się do miasteczka.

- Idę coś zjeść - oznajmiał wyniośle panu Birndlowi, który w wełnianym swetrze błąkał się w niewielkiej odległości od kasy.

Ale to była nieprawda: Hell nie zamierzał wstępować ani do gospody Schwoishackla, ani do „Grand Hotelu”. W porze obiadowej od czasu do czasu smażył sobie jajecznicę ze słoniną.

Pędził na pocztę i wracał z pustymi rękoma.

Mimo iż jezioro było zimne i burzliwe, przepływał dla treningu dystans 1500 metrów - dwadzieścia trzy minuty pięćdziesiąt osiem sekund, nic, to nie był najlepszy czas.

Więc znów chodził na pocztę. Znów - nic

Któregoś dnia - okazało się, że był list. List uroczysty, polecony - i serce Hella aż tłukło się w gardle, gdy podpisywał formularz i przyjmował upragnioną korespondencję.

- No, doczekał się pan wreszcie - uśmiechnęła się do niego panienska z okienka, która brała żywy udział w niecierpliwości i w nadziejach Hella.

Hell rozerwał kopertę i zabrał się do czytania listu jeszcze w drzwiach budynku pocztowego, nie bacząc na to, że każdy kto wchodzi, popycha go lub depce mu po nogach.

Przeczytał - początkowo pobladł jak kreda, potem pozieleniał, potem zaczerwienił się, z trudem przełknął parę razy ślinę - i szybko, na ukos przez plac pobiegł do domu, do swojej izdebki.

Ręce zwisały mu wzdłuż ciała, dziwne puste i niezgrabne.

W domu odczytał ten list jeszcze raz.

To był brzydki, zły, niegodziwy list...

Hell rzucił się na łóżko. Zdrowi ludzie potrafią przespać ból, który jest zbyt silny, by go przetrzymać. Hell zasnął - ten dobroczynny narkotyk stał się i jego udziałem.

Gdy obudził się, jeszcze było mu dość markotno, ale palący ból już minął. Zaczął szukać jakiegoś zajęcia. Wciąż padał deszcz. Woda w jeziorze była zbyt wzburzona, by Hell mógł pływać. Ściągnął buty, podkleił, przyklepał dziurawe zelówki: żwir w Frauensee jest ostry i zabójczy dla taniutkiego, dwunastoszylingowego obuwia. Wybrać się w takich butach na wycieczkę górską - nie, to niepodobieństwo, zanadto już były zdarte i znoszone.

Zabrał się do łatania swoich zmartwień olbrzymim ścięciem, przysiadłszy na progu obok cieknącej rynny.

W tej pozie zastała go May Lyssenhop, gdy zjawiła się około trzeciej na mokrej plaży. Przyszła z papierosem w ustach, z wyrazem twarzy przesadnie obojętnym. Miała na sobie skórzany płaszcz automobilowy i takąż czapeczkę o luźno zwisających wokół twarzy rzemieniach. Płaszcz ociekał wodą. Wyglądała troszkę inaczej niż zwykle - zmarznięta czy niewyspana?

Ręce trzymała nonszalancko w kieszeniach płaszcza.

- Dzień dobry, Urban.

- Dzień dobry, May.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wyjeżdżamy.

- Wyjeżdża...? Jak to? Kiedy? Kto to: my? - pytał Hell, ogłupiały z przerażenia.

- Teraz. Zaraz. Jak tylko tata spakuje swój kufer. Szofer już czeka. Tata nie chce tu zostać dłużej. Stracił humor. Pewna pani już mu zanadto dogodziła. W hotelu zrobił się za wielki skandal. I jeszcze wciąż gadają. Więc tata chce, żebyśmy wyjechali. Dlatego nic nie będzie z naszej wycieczki.

Ponieważ głos jej zaczął drżeć i rzęsy jakoś zwilgotniały, May sięgnęła do kieszeni po drugiego papierosa. Hell nie patrzył na nią, szył w dalszym ciągu, szył z szalonym pośpiechem. Tylko w gardle coś mu dziwnie ciążyło.

- A więc to tak... Wyjeżdżasz, po prostu wyjeżdżasz. I na tym koniec, co? Wszystko skończone? I ja mam tu siedzieć z pustymi rękoma? - mówił jakimś nowym, nieznanym sobie szorstkim basem.

- Skądże! Co też ci do głowy przychodzi! To pech wprawdzie, że właśnie teraz musimy wyjeżdżać. Ale „skończone” między nami nie jest. Cóż to za myśl: skończone! Za cztery tygodnie przyjedziesz do Berlina, do tego czasu wszystko się naprawi, wszystko będzie w porządku...

- O nie!

Hell, zakamieniały w uporze, tylko kręcił przecząco głową. - Spójrz na mnie! No, Urban... popatrz na mnie!

- Nic. Nie będzie wszystko w porządku. Nic się nie poprawi. Wszystko może być tylko jeszcze gorzej. I do Berlina także nie pojedę. Odwołali mnie... wykreślili... Krótko mówiąc: zdyskwalifikowali.

- Na miłość Boską, co ty gadasz? Zdyskwalifikowali? Przez te lekcje pływania?... To straszna rzecz!... Na jak długo?

- Na pół roku. Ale oni jeszcze zobaczą, ho, ho! Niech sobie znajdą innego, który robi im 1500 metrów w dwadzieścia minut i trzynaście sekund. Niech spróbują... banda!... Wystąpię z klubu, tak właśnie zrobię! Nic mnie nie obchodzi ta dyskwalifikacja! Ale widzisz, May, to już początek końca... Nie, naprawdę nie lubię się skarżyć. Ale jak

jednego dnia tak wszystko wali się na łeb - i dyskwalifikują mnie, i ty wyjeżdżasz... no, to trochę za dużo, przyznasz sama!

May przeczekwała chwilę po tym wybuchu. Przysunęła się do Hella, wyciągnęła rękę z kieszeni i położyła na jego jasnych, wilgotnych włosach. Nic odrywała wzroku od rynny, z której pokapywała woda. Hell nie odzywał się już ani słowem, przerwał tylko szycie, zakrył twarz rękoma. Wtedy May przysiadła obok niego na progu.

- Słuchaj - rzekła naraz energicznie. - Teraz pójdziesz i pomówisz z moim ojcem.

- A co ja mu powiem?

- Porozmawiasz z nim. Do niego można mieć zaufanie. Co prawda jest teraz w złym humorze, ale mimo to musisz z nim pogadać. Opowiesz mu o swoim wynalazku. Z pewnością go zainteresuje.

- Wierzysz w to, May?

- Ja? Ach, ja wierzę! Ale to nie o mnie chodzi. Oczywiście, że wierzę...

- A ja już przestaję wierzyć, May. Widzisz, to jest najgorsze. Czasami sam sobie wydaję się oszustem. To ciągnie się tak długo... Muszę sobie powtarzać: „to nie hochsztaplerstwo, ty jesteś dobrym wynalazcą, wszystko się jeszcze obróci na lepsze”...

- No widzisz! Więc idź i porozmawiaj z ojcem!

Ni stąd ni z owąd May znalazła się w objęciach Hella, aż zabrakło jej tchu w piersi, aż zamąciło się w głowie. Nie mogła zrozumieć nic z gniewnych pieszczot, z wściekłych czułości, z rozpaczliwych zaklęć, jakie sypały się z ust Hella. Czowała się tylko uszczęśliwiona, że wszystkie jej członki uginają się i łamią w tym żelaznym uścisku, tak jakby pochłaniał ją jakiś wielki, kochany olbrzym...

- Co robisz? - wyjąkała, niemal dusząc się w jego ramionach.

- Mam powiedzieć tobie, czy twemu ojcu? Mam mu powiedzieć, jak szalenie, jak bez pamięci cię kocham? Mam mu powiedzieć, że muszę cię mieć, choćbym nie wiem, jakie ofiary miał ponieść? Że zejdę po prostu na psy, jeżeli ciebie nie dostanę! Mam mu to powiedzieć?

- Nie - wyszeptała, promieniejąc ze szczęścia.

- Mam mu powiedzieć, jak nam będzie?... Jacy będziemy szczęśliwi, May?... Mam mu opowiedzieć o naszych zamkach na lodzie? I o tym, że będę cię trzymał mocno, że cię za nic nie oddam? I że nic puszcę cię, choćby mi ręce odrąbali? I że twemu tacie nic do tego, że my chcemy być razem. Mam mu to powiedzieć?...

- Nie, nie... głupi chłopaku, nie!...

Hell oderwał się od niej z takim trudem, jakby byli przyklejeni do siebie. Wstał, wyprostował się.

- Trzeba chyba zmienić ubranie? - spytał całkiem rozsądnie.

- Nonsens! Nic przebieraj się, chodź, byle prędzej!

Hell spojrział jeszcze raz krytycznie na swe podarte brązowe buty, ale machnął ręką:

- Jazda!...

A wyraz twarzy miał taki, jak przed trudnym startem.

## Rozdział 7

Pan Lyssenhop siedział na kufrze, który się nie chciał domknąć. Był już zupełnie gotów do drogi - w sportowym ubraniu, z cygarem w ustach - tak go ujrzała May.

- Tato, chciałam cię prosić na chwileczkę. Urban chce z tobą pomówić.

- Kto?

- Urban. Urban Hell. Doktor Hell z pływalni. Bo... właśnie... właśnie, chcielibyśmy się pobrać.

- Ach, tak?... To ładnie z twojej strony, że mi to komunikujesz. Można się obejść bez uroczystości, prawda?

- Ach, tato, to mogłoby wypaść bardziej uroczyście, ale skoro ty już dziś wyjeżdżasz, to musi stać się tak nagle...

- Hm. To tak... Więc ja jestem temu winien, że tak nagle?... No, jeśli tak, to wprowadź tego dżentelmena - zawołał ojciec nic bez rozbawienia.

Hell wszedł. Był zdecydowany na wszystko. May stanęła przy drzwiach jak sztyldwach.

- No, dzień dobry panu, panie Hell - rzekł pan Lyssenhop.

- Jak tam interesy? Nic świetnie, he? Chyba pusto w sklepiku, co?

- Tak jest, proszę pana - odrzekł Hell stropiony. Wszystkie mięśnie miał napięte, jak przed startem.

- Może pan by mi pomógł zamknąć wieko, jeżeli pan taki uprzejmy? Sam nie mogę dać sobie rady.

A Hell z miejsca dał sobie rady. Był naładowany jak dynamo, pełen niespożytych sił.

Przyłożył dwa palce do wieka - i wieko trzasnęło, przymknęło się natychmiast. Potem zapanowała cisza.

- No, słucham pana - rzekł ojciec May, zasiadając w fotelu i wskazując Hellowi krzesło.

- Hm, hm... - zaczął Hell. May chrząknęła głośno.

- Czy pan pali?

- Nie, dziękuję.
- Może koniaczku?
- Nie, dziękuję. Pauza.
- No, mówże pan wreszcie!

Tata nakręcił zegar; w pokoju rozległy się cztery uderzenia. Hell wystartował... - Więc... idzie o to... że ja się muszę ożenić z pańską córką! - wypalił nagle. Słowa te zabrzmiały niemal jak groźba.

- Przepraszam pana: z którą? - spytał pan Lyssenhop.
- Z May.

- Aha. Więc to o May chodzi - ojciec bliźniaczek spojrział w kąt, w którym stała jego córka. - Więc ten pan musi się z tobą ożenić. Czy ty także musisz za niego wyjść, May?

- Bezwarunkowo. Tak!

Pan Lyssenhop obejrzał swoje paznokcie. Dotąd prowadził tę rozmowę na pół żartobliwie; teraz odrobinę spoważniał.

- Drogi panie Hell - zaczął - nie chciałbym, żeby pan mnie źle zrozumiał. Nie jestem tyranem ze starej komedii i moje dziewczęta żyją do pewnego stopnia na własną odpowiedzialność. Dostatecznie długo przekonywały mnie, że posłuszeństwo to jedyna cnota, przy której pomocy starsze pokolenie okazuje się znośne. Ale widzi pan: gdybym miał syna, to niech by sobie dziewczęta robiły, co zechcą i wychodziły za mąż, jak im się spodoba. To nie byłoby takie ważne. Ale ponieważ nie mam więcej dzieci, tylko ten duplikat dziewcząt, to dla mnie to rzecz pierwszorzędnej wagi, kogo one sprowadzą pod mój dach. Tu idzie o rasę, o rodzinę, w ogóle o wszystko. Mam warsztat pracy, nie wiem, czy pan go zna: to „Bewamag”. May panu to lepiej wyjaśni, niż ja. Od dziewiętnastego roku życia pracuje u mnie bardzo przyzwoicie. Więc ponieważ mój przyszły zięć kiedyś odziedziczy tę fabrykę po mnie, rezerwuję sobie prawo wglądu, kim on jest naprawdę. Bo na piękne oczy i na to, co



się damom podoba, niewiele można dawać. Lojalnie mówię, May?

- Bardzo, tato.

- Proszę, niech pan mówi! Niech pan bez zażenowania wyliczy swoje pozytywne cechy charakteru. Bez przesadnej skromności. Słucham pana.

Hell patrzył na noski swoich butów. Miał na sobie stare sportowe spodnie i flanelową koszulę dobrze nadwyreżoną w licznych praniach.

- Jestem zdrowy - z trudem wydobył głos z gardła - stosunkowo młody, mam lat blisko dwadzieścia sześć. I jestem dosyć silny. Mogę wiele wytrzymać... trudu i pracy. Pracuję bardzo chętnie...

- Hm - mruknął pan Lyssenhop, zresztą dość przychylnie, i czekał, co będzie dalej.

- Pochodzę z przyzwoitej rodziny. Mój ojciec dawno nie żyje, był urzędnikiem magistrackim. Rodzeństwa nie posiadam. Matka żyje... I zdobyłem mistrzostwo Austrii w pływaniu, dystans dwieście metrów stylem dowolnym - wyrecytował jeszcze na dodatek. Zamilkł. Pan Lyssenhop czekał.

- Jestem niezamożny - dorzucił z nagłą stanowczością młodzieniec.

W ten sposób określał swój stan posiadania: trzydzieści osiem groszy w kieszeni i siedem szylingów w szufladzie...

Potem już nic nie nastąpiło. May, stojąc w kącie przy drzwiach, jeszcze głębiej włożyła ręce do kieszeni.

- Pan jest niezamożny? Ale coś niecoś zarabia pan, prawda? Czy to pańskie obecne zajęcie... na pływalni... to tylko tak, dla sportu? - spytał tata May z odrobiną złośliwości.

- No tak... oczywiście... dla przyjemności. Przez wakacje... Z zawodu jestem inżynierem.

- Aha. No, to już trochę lepiej. Budowa maszyn?

- Na maszynach także znam się trochę. Oczywiście. Ale doktorat robiłem z chemii. Tylko do dyplomu musiałem zdawać niektóre działy z budowy maszyn, bardzo mnie to interesuje. W fabryce „Oluma” nawet wprowadziłem pewną poprawkę w maszynie, która po dziś dzień funkcjonuje...

- Patrzcie państwo! Pracuje pan w „Olumie”?

- Pracowałem. Zostałem zredukowany.

- „Oluma” stoi bardzo kiepsko, drogi panie. Kto na czas nie spuści! swoich akcji... - pan Lyssenhop przez przeoczenie zaczął mówić z Hellem jak z równym. - Więc cóż to była za poprawka a propos! Mógłby mi pan wyjaśnić? Czy to może sekret?

- To tak - Hell wyciągnął z kieszeni ołówek, sięgnął po leżący na stole rachunek hotelowy i z zapalem zabrał się do kreślenia. - Proszę sobie wyobrazić, tu jest frezarka... o, tu, widzi pan... tu się będzie nakręcało... i w ten sposób można jednocześnie z obydwóch stron obrabiać materiał... Oszczędność czasu...

May spoglądała na dwie głowy, pochylone przyjaźnie nad papierem. O niej już zapomnieli. Tata znał się na budowie maszyn. A Urban... Urban wyglądał tu trochę inaczej - to już nie jej „głupi chłopak”, już nie księżycowy kochanek, nie biedactwo niezaradne, które można schować do kieszeni... Cóż za dziwna rzecz, jak się ci mężczyźni zmieniają, gdy zaczynają „mówić o swoich sprawach zawodowych! Tak wyglądają właśnie ci wszyscy dyrektorzy, inżynierowie i kierownicy działów w „Bewamagu”... May oczyma wyobraźni widziała już Hella wśród nich.

Fala radosnego, pełnego szacunku ciepła zalała jej serce.

Tata sięgnął po rachunek i schował go do kieszeni.

- Coś mi zaczyna świtać - rzekł. - Wcale, wcale dobry pomysł! No, i co, zredukowali pana? A dalej?

Hell wzruszył ramionami zamiast odpowiedzi.

Na cygarze pana Lyssenhopa z długo niestrząsanego popiołu utworzył się pokaźny słupek. May z czasów pracy w fabryce wiedziała, że to niechybna oznaka poważnego zamyślenia.

- Posłuchaj pan, panie Hell - powiedział. - Niech się pan nie obrazi za to, co teraz panu powiem bez ogródek. Życzyłem sobie, żeby dziewczęta wyszły zasobnie za męża. Takie panienki jak moje córki, córki starego Lyssenhopa, są narażone na niebezpieczeństwo, że młodzież będzie się o nie starała ze względu na ich posag. A to niebezpieczeństwo zmniejsza się o tyle, o ile starający się młodzieniec jest sam zamożny i o ile pieniądze żony nic są mu niezbędne do życia. Widzi pan, drogi panie Hell, ludzie z naszej sfery muszą być nieufni, jeśli nie chcą być osłami. Gdyby pan wiedział, ile razy nawet laki psycholog jak ja sparzył się na ludziach z tak zwanych ekskluzywnych sfer... no, ale nic o tym chciałem mówić...

Rzucił chyłkiem spojrzenie na May, która uśmiechała się do niego zachęcająco - zaczerwienił się aż po nasadę siwych włosów - i dorzucił spiesźnie, tonem cokolwiek podrażnionym:

- ... więc i tym razem zadaję sobie pytanie: czy ten doktor Hell musi iak od razu iść na całego? Czy musi zostać mężem May i zięciem starego Lyssenhopa? Czy może na początek zadowoliliby się jaką taką posadką, jakimś stanowiskiem, z którego ewentualnie można by go po pewnym czasie pchnąć dalej?

- Myślę, tato, że ty jesteś bezwstydnym - odezwała się May, wciąż jeszcze stojąca w kącie.

Hell, który początkowo nie umiał połapać się w skomplikowanych wywodach pana Lyssenhopa, nagle zrozumiał, otworzył bezradnie usta i oblał się spóźnionym rumieńcem.

- Posadę pragnąłbym mieć za wszelką cenę - rzekł - ale żebym kiedykolwiek myślał o pieniądzach... nie, to nic leży w mojej naturze...

- To duża wada. O pieniądzach trzeba myśleć. No i cóż pan pocznie z May, skoro pan nie ma pieniędzy?

Cierpliwość Hella wyczerpała się. Wsiał się i stuknął pięścią w stół.

- Widzisz... masz! - zawołał pod adresem May. - Mówiłem ci, że nic chcę iść w podartych butach do twego ojca. Widzisz, jak to wygląda! „Pogadaj z tatą”... no i dogadałem się! Ładna rozmowa, co!... Nie wierzy mi twój tata, ma rację, że mi nie wierzy!...

Pan Lyssenhop spokojnie patrzył na wzburzonego Hella i myślał sobie: Jaka zabawna jest ta współczesna młodzież!... Ale ma swoje zalety. Jest bardzo przejrzysta. Dobrego, ładnego chłopca wystraszyła sobie May...

- Urban zapomniał powiedzieć ci to, co najważniejsze - znów zabrała głos May, nie zmieniając pozycji. - Jest twórcą pewnego wynalazku, który ma wielką przyszłość. Przecież i ja nie jestem idiotką, i wiem, kogo ci przyprowadzam. To tylko kwestia dni lub najwyżej tygodni, a sprawa będzie załatwiona. Prawda, Urban?

- Prawda... to jest, mam nadzieję... ale pewnie się uda - mamrotał Hell.

- Cóż to za wynalazek? Maszyny? Techniczny wynalazek?

- Tata jest cokolwiek jednostronny, rozumiesz... - powiedziała May protekcyjnie. - Nie, to ani maszyny, ani technika... są jeszcze i inne rzeczy, które mają przyszłość, prawda, Urban?

- Więc... chodzi o niedrogi, ogniotrwały film... Krótko mówiąc: wynalazłem niepalną taśmę filmową - wystartował Hell po raz drugi.

Ojciec wypuścił błękitny kłąb dymu i wcale nie wydawał się wstrząśnięty tą wiadomością.

- Przecież już jest coś takiego... - wtrącił.

Hell rozpoczął sprawozdanie. Przede wszystkim z pewną swobodą założył nogę na nogę, ale ponieważ w tej pozycji buty jego ukazały się w dość niepomysłnym świetle, znów ukradkiem ją opuścił i zarumienił się aż po same uszy. Z wielką biegłością cytował formułki i wzory, zasypywał starego pana potopem fachowych, fotochemicznych wiadomości. Stworzenie taniego filmu, filmu niepalnego było niezbędną koniecznością. To musiało przyjść. W niezliczonych eksperymentach, w wielu fabrykach, we wszystkich punktach globu próbowano wytworzyć film z acctocelulozy, z żelatyny. Wszystko było zbyt kosztowne.

Aż Hell zabrał się do roboty. Trzy lata pracował, na innych zasadach, wychodząc z innych założeń. Profesor Molier, ten słynny „koloid - Moller", byczy chłop, pomagał mu w tej pracy. Ofiarował mu do dyspozycji małą pracownię eksperymentalną, mianował go swoim asystentem, słowem, stworzył najdogodniejsze warunki pracy. No, i udało się. Hell wynalazł niepalny film. Tani film z papieru, na który cały świat czekał z utęsknieniem. Wygląda tak i tak. Takie i takie są jego zalety. Takie są koszty wytwarzania. Tu i tu już został wypróbowany.

Hell chwycił jakąś gazetę, leżącą na stole i zapisał ją od góry do dołu cyframi, wzorami, obliczeniami. Wszystko miał w pamięci, tysiącrotnie przemyślane, tysiącrotnie opracowywane. Zapomniał zupełnie o May, pan Lyssenhop przestał dla niego być ojcem May, stał się tylko fachowcem, właścicielem fabryki. Za długo fermentowały w nim te sprawy, z nikim nie dzielone, za długo dusił je w sobie - teraz wyładowały się, wybuchły z najskrytszych głębin.

May nie rozumiała ani słowa z tego, co Urban mówił. Dziwił ją ten wykład, ale zarazem i podobał jej się bardzo. Ojciec początkowo spoglądał na zegar, uśmiechał się nieszczercze i z rezerwą właściwą ludziom interesów i dobrym psychologom. Ale potem sam się zapalił do tematu.

Tam do diabła - pomyślał - ten chłopak jest niegłupi. Ma szansę...

Była godzina wpół do piątej, była godzina piąta.

Na placu przed „Grand Hotelem” stała szara limuzyna i regularnie co dziesięć minut szofer dawał sygnał. Irena kręciła się zdenerwowana po korytarzu. Jeżeli May wyjdzie za tego chłopca, to ona, Iri, wyjedzie na dwa lata do Anglii - tak sobie postanowiła. Współczesne kobiety nie umierają na skutek nieszczęśliwej miłości, o nie! Ale trzeba przyznać, że nie jest rzeczą przyjemną na czczo przyglądać się innym, jak zajadają smażone befsztyki...

O godzinie wpół do szóstej Hell zakończył swój „odczyt”. Był cały spocony. Miał wilgotne czoło, wilgotną szyję, nawet dłonie miał wilgotne. May wciąż jeszcze sterczała przy drzwiach, niezmordowana, jak halabardzista. Pan Lyssenhop palił już trzecie cygaro. Czekał przez chwilę, a gdy Hell skończył, widać było, że nad czymś się zamyślił.

- Kochany panie Hell - rzekł, znów przybrawszy wyraz twarzy człowieka interesów. - Kochany panie Hell, na tych sprawach nic rozumiem się ani trochę. Być może, że pański wynalazek nie jest funta kłaków wart. Pan może mówi mi prawdę, a może... blaguje. Pan może mieć słuszość, a może się mylić. W każdym razie w zamkach na lodzie nie można mieszkać. Ale mam dla pana pewną propozycję: niech mi pan da wszystkie potrzebne materiały i ja zobaczę, czy z tego coś wyjdzie, czy nie. Przede wszystkim trzeba posłać ten pomysł do urzędu patentowego. Potem zobaczymy, co będzie dalej.

- Już wszystko zrobione - odrzekł Hell nie bez dumy. - Właśnie czekam na odpowiedź. Już jest ktoś, kto chodzi koło tej sprawy...

- Ktoś? Któż to taki?

- Pewien... adwokat. Wszystko ma u siebie. On już to załatwi.

- Wszystko? Cóż to znaczy; „wszystko”?

- No, cały materiał. Wynalazek i obliczenia, i opinie, i tak dalej...

- Ach, tak! No, ale spodziewam się, że kopię zachował pan dla siebie?

- Oczywiście. Chociaż sam nie wiem po co. Przecież ja i tak mam wszystko w pamięci - odparł Hell.

May zrobiła pewien ruch ostrzegawczy. Pan Lyssenhop przełknął uwagę, która mu się cisnęła na język.

- Czy to ten pański profesor, ten Muller czy Molier, wskazał panu tego adwokata?

- Skądże! Ci polecani przez Mollera to grube ryby, gdzież ja do nich!... Ten mój adwokat to bardzo młody człowiek, tylko niewiele starszy ode mnie. Bardzo byczy chłop, sprytny, przedsiębiorczy... Już on sobie poradzi.

- No, to tak... I jakież wiadomości ma pan od niego?

- Ostatnio... tak, muszę przyznać, że ta sprawa już się trochę ciągnie... Ostatnio pisał mi, że muszę mieć cierpliwość, że to musi jeszcze trochę potrwać. A potem pojechał do Ameryki i jakoś zostawił mnie bez wiadomości. Ale jest bardzo przedsiębiorczy...

- Domyślam się!... Zna pan go dobrze? Zasięgał pan o nim opinii?

- Oczywiście, że go znam. Przychodził zawsze do takiej małej kawiarenki obok politechniki. Grywaliśmy razem w bilard i tak jakoś zgadało się na ten temat wynalazku. No, i

krótko mówiąc, wziął tę sprawę w swoje ręce. Mój przyjaciel z klubu „Austria”, Hopfner, poznał nas ze sobą...

Pan Lyssenhop nie dowierzał własnym uszom.

- Czy ten adwokat ma swoją kancelarię? - spytał słabo.

- Tak... to jest, chwilowo nie ma kancelarii... Nic może sobie pozwolić na własne mieszkanie. Zresztą, wciąż podróżuje. Bardzo, bardzo jest przedsiębiorczy. Teraz właśnie pojechał do Ameryki...

Pan Lyssenhop zaczerwienił się aż po białka oczu. Nawet lekko zwapniałe żyłki w gałce ocznej nabiegły krwią.

- Jak się nazywa ten gość? - spytał bardzo łagodnie.

- Meyer - odrzekł Hell.

Na dźwięk tego nazwiska, tego banalnego i często spotykanego nazwiska, pan Lyssenhop wybuchnął. Twarz mu spąsowiała, tak że wyglądała wprost przerażająco. Zachłysnął się, zabrakło mu tchu w piersi.

- Panie! - krzyknął. - Panie, pan jesteś idiota, czy co? May, ten człowiek jest chyba idiotą!... Sprowadzasz mi... Pozwalasz sobie sprowadzić do mnie kompletnego idiotę!... Wynalazca!... Ma takiego asa w ręku i wypuszcza go, na piękne oczy powierza jakiemuś oszustowi, jakiemuś panu Meyerowi z kawiarni!... Na jakim świecie pan żyjesz, panie?... Co pan sobie w ogóle myśli? Jak długo pan już czeka, aż pan Meyer da znać o sobie? W Ameryce jest, co? Nic pisze, prawda?... I kancelarii także nie ma, prawda? Czyżby pan choć przez chwilę myślał serio, że ten pan Meyer jeszcze się kiedykolwiek pokaże razem z pańskim wynalazkiem? Dość! Mam dość tego człowieka, May! Takie idiotyzmy wyprowadzają mnie tylko z równowagi!

Hell, który nie znał apoplektycznych dyspozycji pana Lyssenhopa, stał bezradny jak wobec trzęsienia ziemi, jak wobec wybuchu wulkanu, wobec katastrofy kosmicznej. May, bardziej zahartowana, ośmieliła się odezwać:



- Ależ posłuchaj, słuchaj, kochany tatku...

- Nie, nie chcę słuchać! - huczał ojciec i siwe włosy stanęły mu dęba na głowie, w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu, co Hella przygnębiło ostatecznie. - Nie będę słuchał, dosyć słuchałem! Trener, dobrze. Bez grosza, w podartych butach, biedny, bez posady - wszystko dobrze. Każdemu się może przytrafić, w tym nie ma nic beznadziejnego. Ale głupota jest beznadziejna, May! Głupota jest bez nadziei, bez ratunku!... Słyszysz pan, panie Hell, razem z pańskim Meyerem? Sprawa dla mnie jest załatwiona. Biedny chłopak może dostać moją córkę - skoro lak być musi - ale idiota... Za nic na świecie!... Kufer! Niech portier wyniesie kufer! Ani słowa więcej w tej sprawie, May!

Dziewczyna zacisnęła zęby. Znała swego ojca.

Lecz Hell, tknięty do żywego - nie tyle grubiaństwem pod własnym adresem, ile tonem, jakim ojciec zwracał się do May - nie powstrzymał się od odpowiedzi.

- Proszę pana - zaczął - pan jest w złym humorze. Pan ma swoje powody. Nie jestem ani psychologiem, ani człowiekiem interesów, o nie! Ale ja mam instynkt, mam intuicję, choć pan myśli o mnie, że jestem idiotą. Jak tylko zobaczyłem Meyera, to powiedziałem: „To przyzwoity człowiek”. Jeszcze zobaczymy, kto z nas miał rację...

- Właśnie, że nie zobaczymy! - wrzasnął pan Lyssenhop. - Nic nie zobaczymy! Nie chcę o panu słyszeć! Zabraniam ci, May, zabraniam, słyszysz!... Tu mi kaktus wyrośnie, jeżeli pan jeszcze kiedykolwiek zobaczy tego pana Meyera, o, tu, na dłoni kaktus mi wyrośnie!... Dostanie pan May i całą moją fabrykę, całą „Bewamag” pan dostanie, jeśli tamten gość pokaże się panu na oczy razem z pańskim filmem!... Dosyć, dosyć!... Panie Eggenhofer, kufry!... May, nie odzywaj się, ani słowa!... Jeszcze to było mi potrzebne w tym przeklętym

Frauensee! Deszcz ciągle pada, co? Żeby już raz wyjechać z tego zatraconego Frauensee!...

Pan Lyssenhop jedną rękę wpakował do kieszeni, drugą złapał May pod pachę i powlókł za sobą. W pokoju został tylko zapach cygar i zgnieciona gazeta, zapisana na brzegu liczbami i wzorami.

Hell podniósł ją, wygładził w zamyśleniu i wpakował do kieszeni.

Szedł po zielonym dywanie, biegnącym wzdłuż schodów i myślał. Dziś po raz trzeci oberwał pałką w łeb. Trzeba przyznać, że lego było mu już za wiele.

Gdy zamroczony skręcał w korytarz obok czytelnicy, naraz czyjeś ramię objęło go za szyję, czyjeś drżące, namiętne usta przywarły do jego zaciśniętych warg.

- May? - spytał przełęczony.

- Tak, ja...

I postać w gumowym płaszczu już się oderwała od niego, już zniknęła w ciemności. W chwilę potem zawarczał motor.

Hell skoczył jednym susem ze schodów - ale u pojazdu zobaczył już tylko małą chmurkę dymu, pachnącą benzyną i pana Eggenhofera, który stał bez czapki, z napiwkami w ręku, i uśmiechał się złośliwie.

## Rozdział 8

Odkąd Lyssenhopowie wyjechali, życie Urbana Hella jakoś dziwnie zawisło w powietrzu - dni pozbawione treści huśtały się w pustce, nie było na co czekać, znikąd żadnego bodźca, żadnej nadziei - ale i nigdzie spokoju. Hell czuł się jak dzieciak, któremu uciekł balon. Bezradnie rozglądał się po świecie, na którym mogło zdarzyć się coś takiego... Świat był brzydki, obrzydliwy, nic zachęcający do życia odkąd został pozbawiony May.

Frauensee - to wstrętna dziura - kilka zamglonych wzgórków, trochę zimnej, mętnej wody, niewiele lepszej niż w kałuży - to ma być jezioro, to ma być wszystko?... Białe postacie na placu tenisowym - postacie, wśród których brakło tej jednej, tej najdroższej - mogły widokiem swym przyprawić o chorobę nerwową...

Ale jednak: trzeba żyć. Trzeba trenować mimo dyskwalifikacji. A może właśnie dlatego... Trzeba pobić rekord, choćby tylko dla siebie - przez zemstę, przez ambicję, dla podtrzymania własnego poczucia wartości. I trzeba jeść. I czekać na list od pana Meyera...

W tym oto kręgu żył Urban Hell, odkąd May wyjechała. Być może, że bardzo jest biegła w angielskiej korespondencji ta May Lyssenhop, ale do pisania listów miłosnych wyraźnie brak jej skłonności. Bo jakżeż umiałaby pisać listy miłosne ta prosta, może nieco kanciasta, pozbawiona wszelkiego patosu, wysportowana dziewczyna!...

May przysyłała widokówki. Od czasu do czasu liścik w wąskiej szarej kopercie.

Państwo Lyssenhop pojechali na wycieczkę w Dolomity.

Myślę o Tobie - pisze May. - Serdeczne pozdrowienia.

Albo:

Żałuję, że Cię tu nie ma. Całuję - Twoja May.

List zaś - cały list! - był tej treści;

Tutaj jest cudownie - musimy tu oboje przyjechać następnego lata - zawsze Twoja May.

Hell składał te listy i widokówki w szufladzie obok pudełeczka ze srebrną odznaką.

Egzystencja Hella stała się dziwnie chwiejna, kołysała się, jak źle obciążony okręt. Brało się to stąd, że Hell stracił wiarę w siebie. Argumenty znawcy dusz ludzkich, pana Lyssenhopa, przekonały go niemal całkowicie. Pan Meyer przekształcił się w bezcielesne widmo. Hell długo myślał o panu Meyerze, im dłużej myślał, tym mniej wierzył, że coś z tej sprawy będzie. Zapomniał, jak tamten wygląda, co mówił, czego się miał trzymać... Pewnie ten Lyssenhop ma słuszość!...

Niechybnie ma słuszość. Wszelka nadzieja opuszcza Hella. Nawet już nie czeka na list. Gdyby list teraz przyszedł, byłoby tak jak w bajce, jak w nieprawdopodobnej powieści...

Nie, takie rzeczy się nie zdarzają! - myśli Hell, posepny i nachmurzony. Nawet nie ma adresu tego pana Meyera, który pojechał do Ameryki... Nie można do niego napisać, nie można zaskarżyć go do sądu, nie można mu nawet zwyczajnie dać po pysku. Trudno... Hell obojętnie na wszystko.

Od czasu do czasu trenuje. Jednego dnia pływa aż do utraty sił, startuje do wyścigów o zakład sam ze sobą i wraca całkiem wypompowany do swej izdebki. Innego dnia nie może się zdobyć na start, zimna woda przyprawia go o lęk i gęsią skórę, jezioro staje się wrogiem, którego trzeba za wszelką cenę unikać.

\* \* \*

Hell powlókł się na taras, stanął przy lunecie i skierował ją na szczyty gór, ukryte w chmurach. Nie mógł patrzeć na góry, aby nie doznawać palącej, wezbranej tęsknoty za May... Zbyt wiele marzeń wiązało mu się w myśli z tymi dwiema nocami w górach, z tą wycieczką, z której nic nie wyszło... Nie było

ani wycieczki, ani rekordu w Berlinie, ani milionów od pana Meyera - słowem nic nie było.

Skierował lunetę na zbocza, na hale, połoniny i łąki, aż do doliny, gdzie stał zameczek Dobbersbergów. Na tamtym brzegu tańczył jakiś biały punkcik, ale to nie była Puk, jak udało mu się stwierdzić po długim celowaniu, tylko Tygrys. Zaprażył zobaczyć tamten brzeg, przez chwilę napawać się jego ciszą i spokojem... Nie był tam od czasu tej żalostnej przygody z panią Kamillą w jej „gondoli”...

A może by tak odwiedzić Puk? - zadał sobie pytanie.

Przebrał się i wsiadł do łódki.

Był ciepły, łagodny wieczór, jezioro prawie nie falowało, półsennie rybitwy kołysały się tuż nad wodą.

Gdy Hell przycumował łódź, Tygrys głośnym szczekaniem objawiał swą radość. Opierał się centkowaną mordką o dłonie Hella i bębnił ogonem z radości, ocierając się o jego ubranie.

- Gdzie jest Puk? - spytał Hell, ujmując psa za obrozę.

Tygrys rzucił się galopem na ukos poprzez łąki i ścieżki. Wetknął mokry nos w krzaki, obwąchał - po czym znów popędził naokoło zameczku, aż do dworskich zabudowań. Przy którychś drzwiach zaczął warczeć i poszczekiwać - rzeczywiście, po kilku chwilach maleńka postać Puk ukazała się w drzwiach.

- Jak to dobrze, że właśnie dziś przyszedłeś - wyszeptała Puk zamiast powitania. - Jest coś nadzwyczajnego... maciora się prosi. Ty możesz wejść, Tygrys nie.

Tygrys, mrużąc gniewnie, ułożył się przed wejściem do chlewu. Hell wszedł - uderzył go ciepły, mocny odór nawozu. Była tam cisza - senna, przyczajona cisza chlewów - pełna szelestów siana, zgrzytania łańcuchów, łoskotu układających się cielsk zwierzęcych.

Hell, który trochę zziąbł, teraz rozgrzał się. Przed jednym z boksów Puk zatrzymała się, wraz z Hellem przechylili się przez drewnianą przegródkę. Ciężko dysząc, leżała tam dość rosła maciora - obok na sianie siedziała tęga Mariuszka, trzymając na kolanach niewielki koszyk pełen słomy, w którym ruszały się nagie, słabiutkie prosiątka.

- Prosi się pierwszy raz; bardzo dobrze jej idzie - oznajmiła Puk tonem prawie uroczystym. - Dziewięć sztuk jest już, ale Mariuszka mówi, że będzie dwanaście. To bardzo dużo jak na pierwszy raz.

I zamieniła kilka słów po czesku ze starą nianią.

- Grzeczna, grzeczna jesteś - zwróciła się Puk do świni, która w międzyczasie uniosła się na tylnych nogach i nowe prosiątko wyslizgnęło się na słomę.

Maciora powąchała swój pomiot, który Mariuszka podsunęła jej pod nos, i z cicha postępując, odwróciła się do ściany, zajęta mozołem rodzenia.

- Człowiek nabiera szacunku - odezwał się Hell cicho.

- O, tak - dorzuciła Puk. - To piękne, prawda? Oczy jej lśniły zagadkowo.

- Takiej świni to dobrze! - rzekła naraz z westchnieniem.

Hell roześmiał się:

- Zabawne stworzenie z ciebie, Puk!

I pogłaskał ją po głowie.

- Wcale nie jestem zabawna! - zaperzyła się Puk. - Właśnie, że takiej śwince jest dobrze! I ja bym też chciała tak mieć... dwanaścioro dzieci! Pomyśl tylko: dwanaścioro małych, ciepłych, tłusciutkich dzieciaków!...

Puk zamysliła się - widać było pracę myśli na jej smagłej, malajskiej twarzyczce.

- Ja wiem, co trzeba zrobić, żeby mieć dzieci - odezwała się naraz. - A ty wiesz? O, Boże drogi! - pomyślał Hell skonfundowany i nie dał żadnej odpowiedzi.

Puk ujęła go pod rękę - żywe ciepło biło od jej ciała, w oczach migotała nieświadoma siebie, łagodna siła witalna. Hell patrzył na poły tkliwie, na poły zniecierpliwiony na ten ułamek kobiecości, namiętny i niewinny zarazem, na ten cudowny rezultat metod wychowawczych barona Dobbersberga...

Gdy dwunaste prosiątko przyszło na świat i Mariuszka po czesku oznajmiła, że to już koniec, Hell wyprowadził Puk z zaduchu chlewu.

Zapadał jasny, gwiazdzisty wieczór. Nad jeziorem unosiły się przejrzyste, niemal świecące opary, pierwsze nietoperze polatywały, krojąc aksamitnymi skrzydłami powietrze. W ogrodzie pachniała maciejka. Hell zerwał garść niedojrzałych gruszek i zaczął je gryźć.

- Coś tak spuścił nos? - spytała Puk. - Dolega ci coś?...

- Skądże!... Nie wiem sam. Cóż mi ma dolegać?

- Może głodny jesteś?

- O, nie! - odrzekł Hell nie bez dumy. - Jestem dzisiaj okropnie nażarty. Są takie dni, kiedy nie można się opędzić od zaprosin... a kiedy indziej przez cały tydzień nic, guzik! To się nazywa pech!

Hell nie odczuwał wstydu wobec Puk, nie krępował się opowiadać jej o swoich troskach.

- Widzisz, masz słuszość - dodał po chwili - coś mi naprawdę dolega... czegoś mi brak, ale na to nic nie poradzisz...

- Czego ci potrzeba? Nie można ci pomóc? Chciałbyś?... - pytała Puk, wznosząc ku niemu swe ładne, ciemne oczy, posłuszne jak u małego zwierzątka.

Początkowo nie usłyszała żadnej odpowiedzi - szli obok siebie w milczeniu, wzdłuż krzaków. Na dziedzińcu skrzypiał żuraw, latarnia nad stajnią rzucała mętne, chybotliwe światło, czyjaś głowa, związana białą chusteczką, pochylała się nad

wiadrem. Zapach świeżo skoszonego siana uderzył z otwartej stodoły.

- To, czego chciałbym... nie, tego nie mogę ci powiedzieć - burknął Hell.

Puk przystanąła pod drzewem orzechowym, w milczeniu zerwała i rozgryzła w zębach ostro pachnący liść, czekała. Czekala cicha, skupiona, na to, co Hell powie.

- A tak! Brak mi!... - wybuchnął naraz. - Brak mi... mojej dziewczyny... żebym wiedział, że jest tylko moja... i żebym mógł ją wziąć pod rękę... i uścisnąć i przytulić do siebie... i być zawsze, zawsze z nią... tego mi brak, rozumiesz!

Puk milcząc skinęła głową, przełknęła jakąś myśl, jakąś odpowiedź wraz z gorzkim liściem orzecha. Serce w niej pęczyło z pragnienia, żeby jakoś pomóc Hellowi i żeby samej uwolnić się od ciężaru niepojętych uczuć, które w niej się kłębiły.

Od strony pałacyku zabrzmiał donośnie dzwonek.

- Dzwonią na kolację. Chcesz, pójdziemy? - spytała Puk.

- Och, nie mam ochoty - odparł Hell. Przypomniał sobie Kamillę Bojan i strach go obleciał.

- No to chodź, schowamy się - zaproponowała Puk.

Chwyciła go za rękę i poszli ukradkiem wzdłuż muru, jeszcze nagrzanego letnim słońcem. Znaleźli się w tej części dóbr barona Dobbersberga, gdzie Hell dotąd nie był ani razu. Od fornalskich izb dobiegał odgłos harmonijki; robiło się coraz ciemniej.

- Potrafisz otworzyć? - spytała Puk, stając przed drewnianym budynkiem. - Tu jest spichlerz, tam jest bardzo ładnie.

- No, chodź!... - przynagliła Puk, widząc, że Hell się waha. - Tu jest bardzo ładnie... to tu właśnie jest mój „kącik pocieszenia”.



Pod stopami trzeszczało głucho. Słoma siała w przegrodach, wielka sieczkarnia przycupnęła pośrodku, jak jakieś nieznane zwierzę. Pachniało latem i żniwami. Puk zaszyła się w srebrzystą kępę w kącie.

- Świetnie: owies! - oznajmiła, przesypując ziarno między palcami. - Chodź tu bliżej - poprosiła po chwili.

Hell zanurzył się obok niej w pachnącą stertę. Miał dzieciinną ochotę całkiem zagłębić się w tym wzgórkowi owsa. Puk przyglądała mu się badawczo i poważnie - naraz westchnęła głęboko. Pociągnęła go za sobą - oboje znaleźli się na miękkim, chłodnym posłaniu. Hell bawił się ziarnem jak kamyczkami żwiru na plaży. Pod szeleszczącym pokryciem owsa wymacał dłoń Puk - ryła się w sianie, jak małe dzikie zwierzątko - i przytrzymał ją dla zabawy.

Puk westchnęła jeszcze głębiej, przysunęła się bliżej i oparła głowę na kolanach Hella. Leżał bez ruchu, nie bronił się. Serce bilo mu łagodnie, wolno; słyszał uderzenia poprzez szmer sypiącego się ziarna. W tym leżeniu bez ruchu obok Puk była jakaś niezmierna słodycz - rzekłbyś, płynąć w letni przedwieczery, położyć się na wodzie i dać się nieść prądowi...

Nawet wtedy, gdy wargi Puk przywarły do jego ust, Hell nie ruszył się z miejsca. Pomyślał o May... dziwna siła wstąpiła w niego, rozkosz rozlała się po całym ciele. Puk nie umiała właściwie całować, jej niewinne, na poły rozwarte wargi spoczywały na jego ustach jak usta sennego dziecka. Hell przygarnął ją do siebie, oplótł ramionami jej drżące plecy, poddał się... I siało się - stało się coś brzydkiego, rozpaczliwie brzydkiego, a mimo to przynoszącego pewną ulgę: Hell całował Puk i myślał przy tym o May...

Tak cicho, spokojnie leżących obok siebie znalazł ich baron Dobbersberg, gdy podczas wieczornego obchodu zajrzał, by sprawdzić, dlaczego wrota spichlerza są otwarte.

Długi, wąski cień, cień Don Kiszota padł na klepisko - baron zakaszał lekko, tak że Hell go usłyszał...

O, do diabła!... - pomyślał i zerwał się szybko.

Puk zaśmiała się cichym, rozmarzonym śmieszkiem.

Ziarna owsa potoczyły się wzdłuż jej rękawa.

- Cóż to, Łasiczka bawiła się z panem w chowanego? - spytał baron swym miłym, wysokim głosem. - To najulubiejsza z jej zabaw od czasu dzieciństwa. Najmilsze lalki zawsze były powtykane głęboko gdzieś w stóg siana. To znaczyło, że umarły i że trzeba je gorąco oplakiwać. Po kilku dniach Łasiczka wyciągała je ze sterty i nazywało się, że ożyły i że można się z nimi znów bawić. Czy i z panem była taka zabawa, panie doktorze?

Hell podniósł się - był zapyłony jak młynarz - wszędzie miał pełno ziaren owsa - w kołnierzyku, w mankietach, nawet w skarpetkach. Wystrząsał, osypywał z siebie, mamrocąc jakieś słowa zakłopotania - był baronowi szczerze wdzięczny za jego niepojęty takt i subtelność. Taki widocznie był wpływ filozofii barona; nigdy się nie gniewał i nigdy się niczemu nie dziwił. Córka miała także w sobie tyle swobody i zrozumienia dla innych.

Puk szła między Hellem a baronem, lekko drząc, jak rozegrana struna, pełna czystej radości, niewinna i uszczęśliwiona.

- Zobacz, jak mi twarz płonie. Gorąco było w tym spichlerzu - rzekła niefrasobliwie, przykładając twarzyczkę do dużej, mocnej ręki Hella.

Gdy stanęli na przystani, Hell dostrzegł, że twarz barona była jednak bardzo żółta i zapadnięta, jak przed nowym atakiem febry.

- Widzi pan: zazdrość, to nie uczucie pierwotne, niezbędne dla duszy ludzkiej. To tylko sprawa pewnej umowy społecznej, pewnej konwencji, coś narzuconego z zewnątrz,

coś przyjętego - mówił, podczas gdy Hell zasiadał w łodzi. - Niechże pan poczeka, doktorze, muszę rozsupłać łańcuch. Tak, wracając do tematu... Eskimosi na przykład nie wiedzą, co to zazdrość. Gdy mają gościa, którego chcą należycie uczcić, ofiarowują mu własną córkę i własną żonę. Czuli by się bardzo dotknięci i obrażeni, gdyby gość nie chciał przyjąć ich daru... Musi pan brać wiosłem na lewo, żeby nie wpaść na jakąś żaglówkę. Czuje się pan dobrze, doktorze?

- O tak. Dziękuję bardzo - odparł szybko Hell, zanurzając wiosła w wodę.

Czuł się jakiś dziwnie otępiały i chciał odjechać jak najszybciej. Ale baron trzymał jeszcze łańcuch w ręce.

- Lecz ja nie jestem Eskimosem, doktorze. Nie mam ochoty uczestniczyć w tych eskimoskich obyczajach, ale i nie chcę być niegościnnym. Wobec tego byłoby chyba najlepiej, gdyby pan zawiesił swoje wizyty na tym brzegu. Dobrej nocy, doktorze Hell.

I łańcuch ze zgrzytem padł na dno łodzi.

A jednak... dostałem policzek - pomyślał Hell, znów czując zimny strumyczek potu na plecach.

Po tym dniu zaczęły się dla Hella złe czasy.

„Pieskie czasy”, jak zwykł mawiać do May.

Nie ma ani listu od pana Meyera, ani wiadomości od panny Lyssenhop. Nie ma grosza w szufladzie, nie ma cyfr w rubryce wpływów w zasmuconym notesie. Hell nie może pływać, rana na przedramieniu, którą zrobił sobie dwa tygodnie wcześniej zahaczywszy o jakiś zardzewiały gwóźdź na pomoście, nie chce się goić, pali czasem tak, że mało diabli nic biorą, a woda ma czternaście stopni. Dotychczas nic przelewało się pod względem jedzenia, teraz Hell głoduje całkiem niedwuznacznie; a po trzech czy czterech dniach głodówki człowiek jest jak po ciężkiej chorobie, ma zawroty

głowy, dreszcze i ochotę zaszyć się gdzieś w kąt i płakać, jak małe dziecko.

W nocy śni się Hellowi hala targowa. Jest to ogromny budynek, Hell chodzi i chodzi bez końca, mija stragany z wiktuałami: szynki, kiełbasy, tłusty boczek, mięso, drób - wiszą na hakach. Piramidy owoców piętrzą się w koszach, a pierniki leżą jeden na drugim jak cegły. Sery, ogromne niby koła młyńskie i czerwone raki na blokach lodu... I Hell także leży na bloku lodu. Lód jest tak zimny, że Hell się budzi. Zimno pełźnie mu po plecach, jak obrzydliwy gad. Hell przewraca się na drugi bok, ale skaleczone ramię pali niemiłosiernie.

Nie miał ochoty gasić lampy, wydawało mu się to pracą ponad siły.

Zdawało mu się, że ściany izdebki nacierają na niego, że wszystkie szpary między deskami mają oczy. A polem - zabawne! - Hell rozdwoił się... po prostu rozdwoił się!

- Teraz mam chyba naprawdę gorączkę - pomyślał. - Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? Skaleczyłem się o zardzewiały gwóźdź. Ramię wyprawia paskudne hece. Coś nie jest w porządku ze mną. Mam gorączkę. Z tym nic można żartować. Jutro pokażę ten pasztet doktorowi Mayrederowi.

Pukanie. Pukało mu w sercu, w pulsie, w koniuszkach palców, pod pachą, w łokciu, wszędzie. Ale poza tym - słyhać było wyraźnie pukanie z zewnątrz. Bum, bum, bum, bum. Nie, to pukanie do drzwi. Hell podniósł się z wielkim trudem.

- Kto tam? Kto tam? - spytał ochrypłym ze snu głosem.

- To ja. Puk. Otwórz.

Puk... to było zdumiewające. Hell nie mógł zdać sobie sprawy, co to znaczy. Postawił nogę obok łóżka i zatoczył się. Zdawało mu się, że ściany czerniały i nasuwają się na niego,

a potem znów odskakują w chybotliwym świetle lampy. Oparł się ręką o poręcz krzesła - psiakrew, jak to boli! - i zawołał:

- Wejdź! Drzwi są otwarte.

I wcale by się nic zdziwił, gdyby stąd wynikło coś bardzo niespodziewanego, nielogicznego. Ale wypadki potoczyły się normalnym biegiem - drzwi się otworzyły i weszła Puk. Wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy ją zobaczył po raz pierwszy - miała na sobie nieprzemakalny płaszcz z kapuzą, pod płaszczem perkalową sukienkę i była zlane deszczem od stóp do głowy. W pokoju zapachniało zimnem i wilgocią. O dach zabębniły krople, ten nieustanny szmer, do którego przywykli wszyscy w Frauensee. - Aha, to ty... Czego chcesz? Co ty tu robisz po nocy?

Stanął boso przed łóżkiem.

Ale Puk była blada i miała błyszczące oczy - można by pomyśleć, że to ona ma gorączkę.

- Przyjechałam tu łódką. Jest pierwsza w nocy. U nas są goście. Mama zaprosiła ludzi z teatru. A ja zwiąłam.

Bezcelowym ruchem wskazała za siebie, w szumiący za oknem deszcz.

- Tygrys jest ze mną, czeka w łódce - dodała.

Zabrzmiało to bezradnie, żałośnie, jakby w obecności psa szukała opieki i pomocy. Przymknęła drzwi i oparła się o nie z wyrazem twarzy świadczącym o kompletnym wyczerpaniu.

- Więc to tak... No, i czego chcesz ode mnie?

- Już dłużej nie mogłam wytrzymać. Za dobrze się wszyscy tam bawią... Nie, nie mogłam wytrzymać. Hell, Hell, Hell... wciąż mi chodziło po głowie... I nareszcie ciebie widzę, Hell...

- Słuchaj, Puk... muszę ci powiedzieć, że nie jest rzeczą właściwą odwiedzać młodych mężczyzn po nocy. Prawdopodobnie nikt ci tego dotąd nie powiedział...

- Nie, ale nie pozwoliłabym sobie tego powiedzieć! Musiałam cię zobaczyć! Nic mogę już dłużej!... Przestałeś do nas przychodzić. Papa mówi, że ty się do nas nie nadajesz! I że nie trzeba, żebyś przychodził. Więc jak to: już nigdy?... Zrozum: mam teraz siedemnaście lat... może kiedyś będę miała osiemdziesiąt... i mam cię nigdy już nie zobaczyć? Nigdy!?! Więc dlatego przyszedłam...

- To bardzo miło, Puk, to bardzo ładnie z twojej strony... Ale co ja mam teraz z tobą zrobić?

Puk wyciągnęła nieśmiało rękę przed siebie.

- Ach, Urbanie... - wyszeptała cicho. - Przecież powinieneś sam wiedzieć... Musisz jakoś to wszystko naprawić...

Hell zbliżył się do niej.

- Miłe, drogie, głupie maleństwo - rzekł, gładząc lewą ręką jej mokre włosy. Prawa bolała, jakby się w niej sto diabłów rozpełtało.

- O, tak... - szeptała Puk. - Tak... jeszcze... jeszcze trochę... Przymknęła oczy i rozchyliła usta.

Gdy Hell spostrzegł wyraz jej twarzy, cofnął się i wrócił na dawne miejsce: stanął oparty o krzesło. Ale Puk poszła za nim.

- Słuchaj, Puk... - zaczął znów. - Jakoś dziś nie czuję się dobrze. Bądź grzeczna i wracaj do domu. Porozmawiamy sobie jeszcze w dzień. Przyjedź do mnie jutro. Teraz chciałbym się położyć spać...

- Tak, ty chcesz spać! I ja bym chciała spać... i ja bym chciała, żeby mi sen wrócił - odrzekła Puk bardzo cicho, a w słowach jej zadźwięczała tęsknota. - Ale w nocy jest mi najgorzej. Jest mi tak, jak gdybym miała dzień i noc głodować... To moje serce jest wygłodniałe i moje oczy, i moje usta... wszystko we mnie jest głodne... głodne ciebie!... Czasami mi się chce krzyczeć jak małemu dziecku... A

czasem chce mi się biec, biec przed siebie, gdziekolwiek, choćby na Żelazny Ząb, czy na inny szczyt... Wiem najlepiej, że tylko ty jeden możesz mi pomóc! A ty nic nie czujesz?

Owszem, Hell odczuwał - czuł tłumioną tkliwość i pełen wdzięczności sentyment dla tej małej, roz tęsknionej kobietki.

May... - pomyślał.

A May - wcielenie jasności i prostolinijności - była mu czymś równie bliskim i pokrewnym, jak obcą i niezrozumiałą była Puk. Przy tym zestawieniu przyjazne nastawienie do Puk pierzchnęło.

- Nie możesz być taka przewrażliwiona, Puk, to niezdrowo - powiedział srogo, zarówno po adresem Puk jak i pod własnym.

Ramię piekło niemiłosiernie, złożył je na blacie stołu jak obcy przedmiot. Czy mu się nie śniło coś nieprzyjemnego... jakieś wióry, jakieś opiłki wszędzie kłujące? To niejasne przypomnienie wykrzywiło mu usta.

- Więc po prostu odsyłasz mnie do domu? Czy ty nic do mnie nie czujesz? Nie chcesz mi pomóc? - zapytała Puk głębokim, rwącym się głosem. - Nie lubisz mnie?...

- Owszem, lubię cię, Puk. Ale bywa kilka gatunków sympatii... Ty jesteś moją małą przyjaciółką z tamtego brzegu...

- To bardzo źle! To bardzo brzydko z twojej strony, wiesz!... Coś ty mi zrobił, mój Boże, coś ty ze mnie zrobił!... Przychodzisz do nas, głaszczesz mnie, pieścisz, tyś mnie całował przecież, Hell, często mnie całowałeś, a na mnie to tak działało, jakbyś mnie nożem przeszywał...

Jak gdybyś mnie na dwie połowy przekroił. I odtąd ta druga połowa rwie się do ciebie... Ostatnim razem, pamiętasz, tam w spichrzu... Teraz będę jabłoncek - pomyślała sobie... Nie śmieć się, Hell, to wcale nic śmieszne! Czuję się jak jabłoncek, wszystko we mnie było takie ociężałe, takie słodkie,

takie soczyste... nie umiem tego ładnie wypowiedzieć! Już teraz nie potrafię się obyć bez ciebie, a ty mnie po prostu odsyłasz do domu! Co to znaczy wszystko... jeżeli ty mnie nie lubisz, jeżeli ty mnie nie... kochasz?...

Hell znów na długą chwilę zapadł się w jakąś ciemność, a ręka mu pulsowała i drętwiała, łamana głuchym bólem. Jak po omacku dobrnął do łóżka i przysiadł na jego krawędzi. Puk poszła za nim, przywarła do niego, pochylając usta ku niemu jak ku źródłu.

- Słuchaj... bądź dla mnie dobry!... - wyszeptała, idąc za podszeptem niewiedzącej wiedzy.

I objęła go za szyję.

Hell doznał bólu, który wstrząsnął całym jego ciałem - od mózgu aż do stóp. Poruszył się, rozprostował rękę i jęknął cicho, a po chwili zaklął.

Przez całe lato był grzeczny. Cierpiał głód, zimno, niedostatek, troski i poniżenia rozmaitego typu. Ale gwizdał na wszystko, śmiał się i trzymał fason. Przeżył wielką miłość, która w gruncie rzeczy skończyła się źle.

Pewnie że Puk była bardziej wartościowa niż inne, bardziej ponętna, bardziej oryginalna, zrobiła dla niego więcej dobrego, niż ktokolwiek w Frauensee, kochała go głębiej, mocniej, serdeczniej niż inne. Może to małe stworzonko z tamtej strony jeziora było utkane z subtelniejszej i szlachetniejszej materii, niż... nawet May. Ale z tego Hell nie zdawał sobie sprawy, podobne spostrzeżenia nie pasowały do jego nieskomplikowanej, na wskroś normalnej psychiki.

Lecz teraz - gdy ta wzruszająca, niewolniczo rozkochana Puk objęła go za szyję - Hell eksplodował. Właśnie w tej chwili wybuchło jego tłumione strapienie. Miał dość, miał tego wszystkiego po uszy!... I na domiar to wściekle bolące ramię!...



- Nie dotykaj mnie! - wrzasnął. - Co ty sobie myślisz? Czego chcesz ode mnie? Czego wy wszystkie chcecie? Dlaczego mi nie dajecie spokoju? Mam dość, mam dość, o, mam już po uszy, dość, dość!... Nie chcę was, nie chcę żadnej z was, czyście lego nic zauważyły!? Jesteście wszystkie natrętne i nie dajecie mi spokoju! Latacie za chłopakami, narzucacie się im, wiecznie mnie się która czepia, na kark mi włązi, a ja nie chcę, rozumiesz!... Za kogo wy mnie macie? Nic jestem ogier na letnie wywczasy! Mam dosyć swoich trosk. Dajcież mi spokój, nic ode mnie nic wydębicie! Ciągnie mnie do jednej, jedynej, a wszystkie inne tyle mnie obchodzą, co zeszłoroczny śnieg! Jestem chory, nie mam co żreć, zdycham prawie na waszych oczach, a wam tylko pstro w głowie, tylko jakieś miłosne historyjki!... Ale to pod kiepskim adresem, ze mną nic się nic da zrobić - nic, nic, nic!...

Przy tym trzykrotnym, złowrogim „nic” Hell pogroził pięścią w powietrzu. Ruch ten sprawił mu tak szalony ból, że naraz zamilkł i z wykrzywioną cierpieniem twarzą jęknął i padł na łóżko.

Puk cofnęła się aż do ściany, wtuliła się w kąt, gdzie miał siedzibę pajak - wyrocznia, źrenice jej się rozszerzyły, a w oczach odmalowało się takie przerażenie, jak gdyby była świadkiem trzęsienia ziemi. Serce jej kołatało w gardle, oddechu brakło, każde zaczerpnięcie powietrza świstało w krtani.

- Mnie to mówisz? Mnie?...

Hell leżał na łóżku, ręka mu zwisała jak z drewna. W kabinie snuł się odór nafty, wirujące, czarne drobinki sadzy podnosiły się i opadały, osiadały wszędzie.

Puk machinalnie przykręciła knot - i chybotliwy płomień znów się przekształcił w krągłe, równe, żółte światełko. Naciągnęła kaptur na głowę.

- Więc teraz idę daleko, daleko - powiedziała suchym, zgaszonym głosem. I przez chwilę jeszcze czekała na coś, co nie przyszło...

Idź do diabła! - pomyślał Hell, leżąc na łóżku, ale zatrzymał tę myśl dla siebie. Znow zaczęło mu się dwoić w oczach, w malignie produkował swój ogniotrwały film. Drzwi się otworzyły, zimny powiew wiatru i deszczu wionął do izdebki, po czym ustał. Jaka ona smutna, jaką małą miała twarz pod tym kapturkiem - przeszło Hellowi przez myśl w gorączce.

- Puk, nie gniewaj się! - zawołał. Ale Puk już nie było.

## Rozdział 9

O świcie stoi na plaży pies - żałośnie ociekający wodą, duży, centkowany pies Tygrys i wyje. Wyje głośno, przejmująco, bez przerwy. Pusta łódka kołysze się na fali. To łódka Dobbersbergów.

W zameczku zaczynają być niespokojni, trwoga, zamęt, poszukiwania. Mariuszka biega z załamanymi rękoma po pokojach, po dziedzińcu, po stajniach, lamentuje po czesku, ale wszyscy to rozumieją. Lokajczyk idzie na halę szukać panienki - zdarzało się, że tam spędzała całe popołudnia - ale wraca z niczym. Jaśnie pani wisi przy telefonie; baron, żółty jak upiór, dosiada konia i objeżdża cały swój majątek.

Goście szepczą między sobą skłopotani, to ludzie teatru, z wiedeńskiej sceny, wszyscy się tak świetnie wczoraj bawili, że nikt nie spostrzegł, że panna baronówna zniknęła.

Kamilla Bojan dostała ataku nerwowego, zanieśli ją omdloną do sypialni i ułożyli w „gondoli”.

Już po całym Frauensee rozeszły się pogłoski, ludzie przystają na placu, przed „Grand Hotelem”, na promenadzie, tworzą grupki, rozmawiają półgłosem. Że ta zwariowana baronówna jest zwariowana, o tym już dawno słyszeli. No, a teraz odebrała sobie życie, podobno rzuciła się do jeziora, między dwadzieścia cztery potopione dziewice z szesnastego stulecia.

Ranek jest zimny, mglisty, aczkolwiek deszcz nocny ustał. Ze wszystkich drzew ściekają krople, z wierzchołków dachów, z każdego źdźbła trawy. Nad jeziorem kłębią się mgły, nie widać ani gór, ani domków, ani brzegów. Wszystkie dźwięki dobiegają stłumione: dzwon z wieży, gwizd parowozu, klakson na szosie, pianie koguta, gramofon z oberży pełen niewczesnej wesołości. Później mgła się rozwidnia, staje się coraz bardziej przejrzysta, rozszczepia się na pasma, na

włókna i wreszcie przedziera się poprzez opary znużone, chłodne słońce.

Na jeziorze manewruje motorówka; jedzie zygzakiem, bez planu, jak pies na tropie. Przy wszystkich lunetach stoją letnicy, na krytej werandzie pijalni mleka siedzą ostatni goście, na tarasie „Grand Hotelu” pan Eggenhofer udziela wyjaśnień. Nawet do pensjonatu, gdzie mieszkają państwo Mayreder, na drugim końcu Frauensee, dobiega ta wiadomość.

Jezioro wygląda pogodnie i niewinnie, porane drobnymi, krótkimi falami, które lśnią w słońcu jasnoszarym blaskiem, igrają jak jaszczurki i z sykiem podpełzają pod piasek plaży. Małe rybki wystawiają pyszczki z wody i łapią w locie muszki. Jest coś niesamowitego w tym jasnym poranku i w białych brzuskach tych rybek, które wszak przyplływają stamtąd...

Załogi trzech łodzi przeszukują jezioro przy pomocy drągów, lin i staroświeckich wężyczy - jakież to bezsilny sprzęt wobec osiemdziesięciometrowej głębiny! Jedną z łodzi komenderuje aktor z Wiednia, barczysty mężczyzna na schwał o tubalnym głosie. Na drugiej łodzi kucnął baron, wygląda tak jakby był niespełna rozumu. Bez słów wskazuje wąską ręką to ten, to inny kierunek.

Gdy w płytkich miejscach drągi sięgają dna, na powierzchni ukazują się bąble, rozpryskujące się bezszelestnie. Trzecia łódź - to szeroka łódź ratunkowa, własność pływalni, wiosłuje nią sam pan Birndl, mały Maks steruje, na drugiej ławeczce zaś siedzi pan Hell, tak pochylony nad wodą, jakby za chwilę miał wpaść.

Hella sprowadzili pierwszego, gdy trzeba było przeszukać jezioro. Ślaniając się, wyszedł z łóżka, wdział spodenki i płaszcz kąpielowy i zasiadł do łodzi. Nie mówił nic, nie dziwił się niczemu. Brało się to stąd, że Hell nie rozróżniał, czy to już jest jawa, czy wciąż jeszcze męczący zamęt gorączkowych

snów tej nocy. Rękę miał na temblaku, a pod bandażem coś go bolało, coś pukało, ale to coś było dziwnie obce; jak gdyby długa łodyga o szypule z żelaza zwisała mu od ramienia.

Hell wahał się między momentami nadczułej jasności a chwilami, kiedy mu się wszystko wydawało nieprawdziwe i nierzeczywiste. Miał zaschłe wargi, jak wykrojone z papieru, w ustach ohydny posmak. W oczach szklił się gorączkowy blask, powieki miały czerwone obwódki, twarz była zmizerowana i wychudła. A mimo to tliła się w nim jeszcze energia - był z mocnego, niełamliwego kruszcu.

Baczność! - nakazywał sobie. - Co to się dzieje? Co tu się stało?

Puk była u niego w nocy. Puk czegoś chciała od niego. Czegoś, czego nie mógł jej ofiarować. Powiedział jej brzydkie, bardzo brzydkie słowa. I wtedy Puk poszła.

Więc teraz idę daleko, daleko - dźwięczało w uszach Hella.

Na mokrym piasku plaży widniały jeszcze ślady buczków Puk. Tygrys, oszalały ze zmartwienia, biegał od kabiny do plaży i z powrotem, a w międzyczasie wył i zanosił się od chrapliwego płaczu. Hell zapłakałby także, ale nie mógł. Ścisnął zęby jak najmocniej, żeby nie szczękały.

Jeżeli Puk rzuciła się do jeziora, to to moja wina - mówił do siebie w chwilach przytomności.

Ale jak to: jego wina?... Przecież nie zrobił nic złego. Żył po prostu swoim życiem, nigdy nikogo świadomie nie skrzywdził. I naraz wplątał się w jakieś nieszczęścia, w czyjaś krzywdę, w straszne historie... Jeżeli Puk to zrobiła...

A może to wszystko jest w dalszym ciągu snem.

Hell z trudem usiłował przedrzeć się przez ścianę zamroczenia, która dzieliła go od rzeczywistości.

Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się zdarzyło...

Ale we Frauensee - nie wiadomo skąd - wiadano już o wszystkim. Wróble na dachach świergotały o tym, że ta wariatka, baronówna, odebrała sobie życie przez pięknego trenera, na skutek nieszczęśliwej miłości. A później mówiono i o tym, że jakoby znaleziono jej ciało, niedaleko drugiego cypla, tam gdzie jezioro zarasta sitowiem i zmienia się w moczary...

Hell pochylony nad burtą, nie odrywa oczu od wody. Widzi w jeziorze mnóstwo miniaterek Puk. Niektóre noszą kapuzy od deszczu, a niektóre wyglądają jak jawajskie niewolnice. Jedne leżą na sianie w spichrzu, a inne patrzą przechylone przez burtę w lustrzaną taflę wody. Aż mu się w głowie kręci od tych obrazów...

Pan Birndl wiosłuje z wysiłkiem spocony od tej pracy. Maks steruje według kierunku, który odczytuje w mętym wzroku Hella.

Od czasu do czasu spotykają się na wodzie trzy prowadzące poszukiwania łodzie i padają zwięzłe pytania:

- Jest coś?
- Nie, nic.
- Trzeba by nurka - proponuje ktoś lakonicznie.

Słońce podnosi się wyżej, jezioro jest coraz jaśniejsze, łodzie rzucają cienie na zieloną głębinę. Pod powierzchnią kołyszą się łagodnie wodorosty. Na wpół otwarte muszle spoglądają białymi oczyma.

Hella przeszywa nagle ból, jak od ciosu nożem.

Puk! Puk, kochana, mała Puk... czy to możliwe, że już nie żyjesz? „Mam cię nigdy nie zobaczyć?” ... Nigdy...

W chwili przytomności odczuł słowo „nigdy ” z całą przejmującą grozą, ale niebawem i to odczucie zamgliło się, osnuło mgłą. Więc Puk leży na dnie w czarnym płaszczu gumowym i patrzy na Hella otwartymi oczyma... patrzy i

wzywa go... Hell nie namyśla się dłużej: zdejmuje płaszcz kąpielowy i rzuca się do wody.

Z początku zalało mu oczy. Zanurzył się głębiej, woda wypchnęła go wyżej. Roztworzył powieki: nic nie widać. Gdy wypłynął, by zaczerpnąć powietrza nad powierzchnią, zdawało mu się, że ból w ręce jakby ustąpił.

Ale, gdy znalazł się w łodzi, na dnie zebrała się woda, ociekająca z jego spodenek, owinał się płaszczem, zaczął szczękać zębami z zimna, a ból wrócił jeszcze bardziej dojmujący.

Pociąg o dwunastej minut dwadzieścia przybył na stację - przeszył powietrze pióropuszem dymu - i po trzech minutach odszedł. W „Grand Hotelu” gong wzywał na obiad. Góry stały wyprostowane i sztywne nad jeziorem, nie rzucały cieni na wodę.

Naraz Hellowi wydało się, że widzi, jak prąd znosi coś jasnego, coś nieruchomego. Dał nurka po raz drugi, dosięgnął prawie dna - było to w miejscu znacznie płytszym - omal się nie udusił. Ale to był tylko pniak, prawie obłupany już z kory, bielejący nagimi gałązkami. Nic więcej.

Hell wypłynął na powierzchnię. Po chwili bez tchu leżał na dnie łodzi, serce mu biło i kołatało. Po wodzie przesunęła się motorówka, pełna zaciekawionych pasażerów.

Pan Birndl wyjął z kieszeni kawałek chleba i zaczął jeść. Był spocony niemiłosiernie i rozcierał sobie ręce, całe w bąblach od wioseł.

- No, nie mogę już dłużej. Niech pan trochę powiosłuje, panie Hell - rzekł.

Hell wziął wiosła, ale nie z tego nie wyszło: ramię jego już nie spełniało rozkazów.

- Nie idzie - mruknął i ręka zwiśla mu bezradnie wzdłuż ciała. - Jakoś nie czuję się dzisiaj najlepiej...

Więc zaczął wiosłować Maks - ośmioletni mężczyzna, obdarzony prawdziwą siłą woli i charakteru.

Minęła ich łódź Dobbersbergów, otarła się tak blisko, że Maks musiał unieść wiosło.

Baron popatrzył palącym, błędnym wzrokiem na zmoczonego od stóp do głowy Hella. Trzy razy otwierał usta, nim wydobył się z nich jakiś dźwięk.

- Może trzeba już zaprzestać?...

- O, nie! - odparł natychmiast Hell.

- Myśli pan, że ją znajdziemy? - spytał baron swym wysokim głosem.

- Jeżeli jest w jeziorze, to ją znajdziemy - odrzekł Hell (aż dziwił się sobie, że mówi tak do rzeczy) - ale gdyby była na dnie, musiałyby już wypłynąć...

Baron skulił się cały; czarne widmo o żółtej twarzy. Hell nabrał w piersi powietrza i znów skoczył do wody.

Godzina trzecia. Pociąg towarowy przybywa na stację. Letnicy już się rozeszli, rozczarowani, że długie poszukiwania nie dały rezultatu.

Wierzchołek Żelaznego Zęba po raz pierwszy od tygodni zarysowuje się wyraźnie na tle nieba i odbija w zwierciadle jeziora. Na tamtym brzegu przygotowano nosze - na wszelki wypadek. Okazało się, że były potrzebne: trzeba było przenieść barona do zameczku. Omdlał, dostał napadu febry i ataku sercowego.

Stary doktor z Frauensee szybko przyjeżdża motorówką na tamten brzeg z czarną, skórzaną torbą, jak z poprzedniego stulecia.

A z sercem Hella też jest jakoś nie bardzo, ale Hell nie mdleje. Potrafi wiele wytrzymać... Co prawda majaczy jak przez mgłę, że to najgorszy dzień w jego życiu...

Słońce wędruje po niebie niewzruszone. Na drugim brzegu olchy rzucają coraz krótsze cienie na wodę. Godzina



czwarta. Tygrys skoczył do wody i wypłynął daleko. Pan Birndl wiosłuje co sił, łódź przybywa na to miejsce. Hell pojmuje go w mig. Zbiera siły i jeszcze raz nurkuje tam, gdzie krąży Tygrys. Zanurza się bardzo głęboko, ciemno tam jest, mroczno, czuje potworne ciśnienie. Przez chwilę wydaje mu się, że już nigdy nic wypłynie. Ale zmacony żywioł przyjaźnie wypycha go w górę, a tam już wciągają go do łodzi. Nie odczuwa bólu, żadnego, nawet najslabszego bólu. Patrzy w niebo, rozpostarte nad twarzą, niebo go oślepia, czarno mu pod powiekami pełnymi wody. Ale jakieś nieznanne ciepło przenika go nagle.

Puk nie ma w jeziorze... Puk z pewnością tego nie zrobiła... - myśli uspokojony. - Puk to jeszcze dziecko, ona chce żyć, znajdzie się na pewno...

I zasypia na chwilę, dziwnie pocieszony.

Jest już późne popołudnie; w „Grand Hotelu” grzmi muzyka. Państwo Mayreder wreszcie odeszli od lunety i spacerują po promenadzie.

- Może ja tam będę potrzebny - mówi doktor Mayreder i na krótkich nóżkach spieszenie kroczy w stronę Frauensee.

Pani Mayreder kupuje butelkę koniaku.

- Ten Hell pewnie przemarznie do szpiku kości - przewiduje przezornie, pamiętając o własnych - doświadczeniach w zimnym jeziorze.

Mayrederowie zbliżają się do pływalni, odczytują na czarnej tablicy temperaturę osiemnaście stopni, co jest krzyżącym kłamstwem. W kasie nikogo nie ma, tylko na ławeczce przed domkiem siedzi garbata Rózia. Plaża pusta i wilgotna, od wody wieje zimny wiatr przedwieczorny, a czerwona chorągiewka na maszcie podryguje jak ptak, co się uczy fruwać.

Tuż koło pomostu leży mokry pies, smutną mordę złożył na łapach i oczu nie odrywa od jeziora... Niedługo zapadnie

wieczór. Jezioro już jest różowe. Szczyt Żelaznego Zęba migoce roziskrzonym blaskiem w zachodzącym słońcu - cóż to za marnotrawstwo roztaczać taki wspaniały widok dla kilkunastu spóźnionych letników!...

Łódź zatrzymuje się przy pomoście. Maks wyskakuje, przywiązuje czółno łańcuchem. Pan Birndl wyprostowuje swą masywną postać. Wychodzi z łódki ciągnąc coś za sobą...

- Może pani będzie łaskawa mi pomóc? - zwraca się do pani Mayreder z kurtuazją. Ale już pan Mayreder biegnie przez plażę, odpycha panią Mayreder na stronę.

- Stało się coś? - pyta krótko.

Szybko nakłada binokle na nos - cały w pogotowiu - już jest tylko lekarzem.

- Cosik mu niedobrze - objaśnia pan Birndl.

Razem wyciągają Hella z łodzi i układają go na deskach pomostu, które wilgną przy zetknięciu się z jego ociekającym wodą ciałem.

- Koniaku! - dysponuje pan Mayreder i zabiera się do masowania.

Spod bandaża wycieka brudna, mętna woda. Doktor Mayreder odwiązuje wilgotny, klejący się opatrunek. Hell jęczy i obraca ku doktorowi na poły przytomnie białka oczu.

Doktor Mayreder gwizdnął przeciągle - wyciągnął z kieszeni scyzoryk i ostrożnie, ostrożnie przeciął bandaż wzdłuż ręki. Pani Mayreder uniosła głowę Hella, ułożyła na swoich kolanach i poi go koniakiem po łyżeczce.

- Dziękuję... - mamroce Hell. - Ja już sam... mogę... Psiakość...

Pan doktor Mayreder przybliży krótkowzroczne oczy do ręki, nabrzęklej, zaczerwienionej, podejrżanej, paskudnej. Pod pachą biegną czerwone supły obrzmiałych żył...

- Czy tu jest szpital? - pyta.

- Tak, jest szpitalik siostr Urszulanek. A bo co?...

Doktor Mayreder odsuwa od siebie rękę Hella z najwyższą ostrożnością, jakby to było naczynie z trucizną.

- Zakażenie krwi - mówi lakonicznie.

## Rozdział 10

Pan Birndl stał przed „Grand Hotelem” ze swoim dobrym znajomym, portierem Eggenhoferem, i rozmawiał z listonoszem.

Była nieopisanie piękna pogoda, zalany słońcem pałacyk przed hotelem iskrzył się bielą, jak na włoskim pejzażu. Panie spacerowały w jasnożółtych lub białych organdyńowych sukienkach.

Na czole listonosza świeciły gęste krople potu.

- Tak, tak, teraz się wybrałeś, bracie, ze swoim poleconym listem - gderał pan Birndl. - Biedny Hell przez całe lato czekał i czekał, a tu nic! Przez całe lato deszcz lał, a teraz pogoda jak się patrzy, to w kąpielni żywej duszy nie ma!... Teraz, kiedy pan sportowiec bliski skonania, to woda ma dziewiętnaście stopni, ludziska jeszcze by się mogli kąpać!...

- Naprawdę bliski skonania? - spytał pan Eggenhofer i mimo woli zdjął czapkę z daszkiem.

- A tak, mój kochany!... Jeden Bóg wie, czy on z tego wyjdzie! A co najmniej to już mu rękę odkrajają! Już mu tam wczoraj coś podłubali, podłubali, ale na tym nie koniec. A bo te doktory co wiedzą!... Jeden z drugim patałachy, nasz stary doktorzyna, albo ten Mayreder cały! Moja stara i garbata Różka latają do tych Urszulanek, jakby się paliło. Dziś mu trochę lepiej, morfiny mu dali, to se chłopak śpi. No, a co taki sportowiec bez ręki na świecie będzie robił?... Listu nie podpisze, szkoda gadać!

- Żebyśmy chociaż wiedzieli, co w tym liście stoi - zauważył pytająco pan Eggenhofer. Pan Birndl z namysłem zważył list w ręce, obejrzał starannie stempel pocztowy i znaczek.

- Berlin, Hotel „Adlon” - odczytał z nabożeństwem. - Trzeba mu zaraz zanieść ten list, nie wiadomo, czy chłopak do jutra dociągnie... Doktor Mayreder powiedział, że jeszcze

poczeka do jutra... a jak nie, to sprowadzą z Salzburga jakiegoś tam ważniejszego, profesora, czy tam co, na własny koszt!

- Ma szczęście do kobiet. A ta baronówna to się nie utopiła przez niego, co? - zauważył Eggenhofer.

- To jeszcze nie wiecie ostatniej nowiny? - odezwał się listonosz, wyjmując fajkę z ust. - Wcale się nie utopiła... żyje i zdrowa jest jak ryba.

- A pan skąd wiesz? - spytał pan Birndl surowo.

- A bo spotkałem tego starego Schulza, wczoraj prowadził wycieczkę na Żelazny Ząb, a tu słyszy, że ktoś śmiga, i patrzy: ze skały na skałę ino śmiga i śmiga... Podchodzi bliżej, a to baronówna - wesolutka jak szczygiełek. Nocowała w schronisku, a od rana po górach wędruje!... W zameczku już wiedzą...

- A to ci zatracone dziewczynisko! - pan Birndl aż splunął z oburzenia. - Przez nią tośmy całe jezioro od góry do dołu przeszukali... Hell, biedaczysko, aż ze cztery razy do wody skakał, choć gorączkę miał i to zakażenie krwi... Nic po sobie nie dał poznać, sportowiec całą gębą, co tu gadać! A ona sobie po górach lata!... Tfu, psia...!

- No i co będzie z tym listem? - flegmatycznie spytał listonosz. - Może tam co ważnego?

- Daj no pan ten list, już ja go podpiszę. Dam Maksowi, niech mu zaniecie. Maks, powiadam wam, przez cały dzień ino kucnie przy jego łóżku jak psiak i czeka... Czeka, aż się tamtemu trochę lepiej zrobi. Niech mu wtedy ten list pokaże! No, dobra, panie listonosz?

A Hell leżał na wąskim szpitalnym łóżku, nakryty pod brodę ciepłą kołdrą, na której spoczywała owinięta białym bandażem ręka.

- Puls jest nie najgorszy - stwierdziła siostra przełożona, ujmując lewą rękę Hella w przegubie.

A Hell nie mógł zrozumieć, dlaczego tyle wielkich, czarnych ptaków z białymi głowami lata nad morzem, wszystkie wyglądają jak mniszki...

Nie odczuwał już piekącego bólu. Było mu bardzo dobrze. Od kilku dni pływał razem z May. Woda była błękitna, przejrzysta, spieniona i szumiała nad uszami. I przy tym była ciepła, kołysała tak przyjemnie ciało jego i ciało May...

To Zatoka Waikiki, Hell poznał ją od razu, zakątek rajy ziemskiego pod palmami...

- Tu trenował Arne Borg - powiedział Hell do May.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pływanie przypomniało mu tyle rozkoszy, co teraz... Co prawda, delfin ugryzł go w ramię, ale wcale nie wspomniął o tym May, żeby jej nie przerazić - i teraz zresztą już nic nie bolało.

Aha, to podróż poślubna z May, podróż do Honolulu, podróż nad Zatokę Waikiki...

May wyjmuje chusteczkę i łagodnie przeciera mu czoło. Ramię, ukąszone przez delfina, znów zabolowało mocniej. Otworzył oczy.

Skąd tutaj Maks? - pomyślał.

Naraz dostrzegł bowiem chłopca, siedzącego nieruchomo na brzeżku krzesła. Potem zobaczył przed sobą fragment kremowej, malowanej na olejno ściany... A potem wszystko popłynęło, zawirowało mu przed oczyma - stało się niejasne i niezrozumiałe. A najmniej zrozumiałą był czerwony krzyż, wyszyty na kapie kołdry, która zakrywała go aż po szyję...

Z trudem wydierał się z oparów morfiny. Znów wracał dojmujący ból w ramieniu i uczucie niepojętej słabości. Poruszył się z wysiłkiem.

- Proszę spokojnie - powiedział ktoś, stojący nad wezłowiem łóżka.

I znów czyjaś ręka - teraz już na jawie - przesunęła się po jego zwilżonym potem czole. Maks zsunął się z krzesła i położył na kołdrze dwa listy.

- Tu jest poczta, proszę pana - oznajmił.

Wdrapał się z powrotem na krzesło i zastygł w nieruchomej pozycji jak drewniana figurka.

Hell przebiegł oczyma leżące na kołdrze listy. Jeden był od May. To dodało mu bodźca. Oprzytomniał. Lewą ręką sięgnął po kopertę.

Powoli wracał do siebie.

Jestem chory - przeleciało mu przez głowę - ta paskudna historia z ręką... Leżę w szpitalu w Frauensee... A tu jest list od May!...

Przysunął bliżej - poznawał jej charakter pisma, ale litery tańczyły mu przed oczyma. Bezradnie obracał kopertę w lewej dłoni. Wreszcie podniósł papier do ust, próbował rozerwać zębami. Ale to go zmęczyło, opuścił rękę zniechęcony...

- Mogę otworzyć list i odczytać? - spytał nieśmiało ktoś, stojący u wezglowia.

- Tak - odrzekł Hell po chwili wahania.

Zdziwił się bardzo, gdy zza wezglowia ukazała się Puk i sięgnęła po list.

- To ty żyjesz? - ucieszył się. - Bo widzisz, takie zabawne rzeczy śniły mi się o tobie...

- Tak... wiem... Nie tylko ci się śniły... Szukałeś mnie w jeziorze... aż od tego zachorowałeś - odrzekła dziewczyna, spuszczać oczy.

Miała na sobie biały fartuch, o wiele za duży jak na jej drobną postać.

- Ale mnie się ani śniło topić... ludzie są głupi! Nigdy bym tego nie zrobiła!

- No, to gdzieś ty była?

- W górach!... Musiałam się wyplakać, wykrzyczeć, być sama... Tam w górach jest dobrze, jakoś tak z człowieka opadają nieważne drobiazgi... Byłam na Żelaznym Zębie, przez trzy dni i przez dwie noce...

- Wycieczka na dwie noce... tak, to pamiętam... A teraz ci już lepiej? - spytał Hell uprzejmie, aczkolwiek samemu było mu bardzo źle i musiał sobie zadawać niemało trudu, żeby się jako tako utrzymać przy przytomności.

Puk poważnie skinęła głową.

- Tak, już mi lepiej. Mam ci przeczytać?

Dłoń Hella niechętnie rozstała się z listem od May. Chociaż to tylko Puk...

- Kochany - czytała Puk sucho, jak szkolne wypracowanie - jesteśmy od trzech dni w Gossensass. Nudna dziura, powiadam ci. Może do nart są tu świetne tereny, ale w lecie nie ma co robić. Dużo myślę o Tobie. A Ty?

W końcu tygodnia jedziemy do Berlina. Tata się uspokoił i jest wcale miły. Następnym razem napiszę więcej. Chciałabym mieć Twoją fotografię.

Całuję, całuję, całuję.

May

- Tu jest jeszcze jeden list - dodała Puk szybko.

Wstyd jej było za te odczytane pocałunki, a poza tym - troszkę ją kłuło, że musi być dobra i rozsądna, i że nie wolno jej domagać się niczego od Hella...

- Jest jeszcze jeden list, słyszysz, Hell?... Hell nie odpowiadał; tak mu powiało bliskością May, że się rozmarzył. Ocieężałe od morfiny powieki znów mu opadły na źrenice.

- No, będziesz słuchał? - nastawała Puk.

Hell z trudem oderwał się od Zatoki Waikiki i znów znalazł się w wąskim łóżku szpitalnym, nie bez gwałtu nad sobą wracając do rzeczywistości.

- Czytaj - poprosił. Puk otworzyła kopertę.



Szanowny Panie Doktorze!

Powróciwszy przed tygodniem z USA, zająłem się przede wszystkim Pańską sprawą i nawiązałem ponownie kontakt z koncernem „Fimorag”, który zainteresował się Pańskim wynalazkiem. Ku wielkiej mojej radości dziś mogę Panu zakomunikować nader pomyślne wyniki mojej interwencji. Koncern „Fimorag” jest gotów nabyć opcję na fabryczną produkcję Pańskiego ogniotrwałego filmu (opatentowanego już i opatrzonego marką ochronną „Palzethil”) i proponuje Panu na razie 10.000 dolarów. Później będzie Pan miał zapewniony udział w wysokości 5 proc. od zysku. Stanowisko kierownicze przy wprowadzaniu tego wynalazku w życie jest dla Pana oczywiście zarezerwowane, ale będzie to rzeczą osobnej umowy między Panem a koncernem „Fimorag”.

Pańskie rychłe przybycie do Berlina celem osobistego zakończenia tych pertraktacji jest bardzo pożądane. Służę Panu dalej jak najchętniej moją opieką prawną, gdyż muszę przyznać, że Pan jest wprawdzie świetnym bilardzistą, ale kiepskim kupcem...

Przy niniejszym załączam czek na 2000 marek i pozostaję w oczekiwaniu Pańskiej odpowiedzi. Z szacunkiem

Dr Eryk Meyer

Puk położyła list na krześle i rzekła wzgardliwie:

- Cóż to za głupi list! USA, „Fimorag” i „Palzethil” - zupełnie jak po chińsku. A tu jeszcze jakaś karteczka z cyframi... Nie rozumiem ani słowa. Czy to właśnie jest ten ważny list, na który tak długo czekałeś?

Hell czuł, że usta mu drgają. Był to męczący, niepohamowany skurcz, nie śmiech, tylko jakby spazm. W głowie mu się znów zakręciło, tak że omal nie stoczył się z łóżka na podłogę.

- Tak... to jest właśnie ten list - wyszeptał suchymi wargami.

Serce, które ledwo w nim się poruszało, zaczęło bić zwawiej, rozbiegało się, jak nakręcony silnik. Puk znów otarła mu krople potu z czoła.

- No widzisz, nareszcie dostałeś ten swój oczekiwany list! A ja myślałam, że ty mi tylko takie historyjki opowiadasz!... Że ten list, to ot tak, znikąd! Chociaż dobry był ten list? Bo ja nie rozumiałam ani słowa.

- O tak, tak, Puk... Wszystko dobrze... już wszystko będzie dobrze!... - bąkał Hell. Dwie myśli w nim pracowały nieustannie, jak olbrzymie dynamo.

Nareszcie praca! - radowała się pierwsza, najpierwsza myśl.

I nareszcie May!! - przybiegła druga, nie mniej radosna.

Pierś Hella wzdymała się pod koszulą szpitalną. I naraz - krzyknął. Krzyknął tak, jakby w nim wszystko wezbrało i nie miało innego ujścia, oprócz tego krzyku... Właściwie nie mógł się zdobyć na prawdziwy, mocny krzyk, tylko w gardle mu głośno zachrypiało i zarzęziło, ale i to sprawiło mu pewną ulgę...

Puk przelekła się tego rżenia, ale Maks - także przecież mężczyzna! - zrozumiał to natychmiast. Zaśmiał się i zaczął bębnić bosymi, brudnymi stopami o krzesło.

- Oooo! - zawołał. - Nareszcie mamy ten list!... chi, chi, chi, jest list!...

Na dole, u siostry furtianki usłyszano także ów stłumiony ryk i groźny pomruk.

Siostra przełożona - mimo czterdziestu siedmiu lat - zbiegła pędem z drewnianych schodków, po dwa stopnie naraz. Zakonnice, jak czarne ptaki, wszystkie w białych kornetach przybiegły także do pokoiku Hella.

Hell czuł zamęt w głowic.

- Muszę wstać! Muszę jechać! - oznajmił energicznie. Ale że głos mu osłabł w poprzednim ryku, więc obecni usłyszeli tylko niewyraźne mamrotanie zamiast słów.

- Dobrze, dobrze! - rzekła łagodnie i pocieszająco siostra przełożona. I wlała Hellowi do ust łyżeczkę gorzkiego lekarstwa. Potem chory dostał łyk czystej wody, ułożono mu głowę wyżej na poduszce, zrobiło mu się jakoś wygodniej.

- Taki jestem zmęczony... diabli wiedzą dlaczego - silił się na przepraszający uśmiech. I w chwilę potem zasnął - znów pogrążony, w ciepłej wodzie Zatoki Waikiki i znów czekający na dobrą, kochającą i ukochaną May...

Dziwne rzeczy działy się z Hellem: czuł się jak podczas długiej, długiej jazdy pociągiem. Spał, ale to nie był prawdziwy, krzepiący sen. Budził się, a jednak nie czuł się jak na jawie. Ilekroć otwierał oczy, widział przed sobą ten sam pokój, ten sam krzyż na kołdrze, ten sam gruby rękaw szpitalnej koszuli, tę samą kremową ścianę... i naraz to wszystko zaczynało krążyć, wirować mu w oczach, jak karuzela... zjawiały się jakieś obce twarze, których nie mógł sobie przypomnieć...

Na przykład, widział wciąż nad sobą jakiegoś pana, którego znał z pewnością, choć nazwiska jego nie pamiętał - taki krótkowzroczny pan, tęgi, w binoklach... Ten pan, o którym Hell z pewnością wiedział, że się boi wody, ale poza tym jest całkiem w porządku, trzymał długo dłoń Hella w swej ręce, patrzył na zegarek, kiwał zatroskany głową - i zniknął w półsennej mgle, w turkocie kół niewidzialnego pociągu, który uwoził ze sobą Hella.

Któregoś dnia w pokoiku zaroilo się od ludzi.

- Poszukajcie sobie innego miejsca - mrucał gniewnie.

- Dobrze, dobrze!... - uspakajano go.

- Niech moja matka tu przyjdzie! - zażądał Hell, co wyraźnie zmartwiło wszystkich obecnych.

Teraz stał nad nim jakiś pan, inny, który wyglądał jak dyrektor gimnazjum, do którego kiedyś uczęszczał Hell. Zażywny jegomość z krótką siwą bródką i w okularach.

- Dzień dobry, panie dyrektorze! - powiedział chory grzecznie, z uczniowskim respektem.

Ach, ten „dyrek” zawsze lubił się wtrącać do spraw uczniów, które go nic a nic nie powinny były obchodzić!... Teraz również wyjął rękę Hella z bandaży i opukał ją starannie jakąś pałeczką, która mogła być także wiecznym piórem. Przyjemne to nie było. Hell aż zgrzytał zębami!...

- Odwagi, odwagi, mój chłopcze! - odezwał się „dyrek” zachęcająco, jak przed egzaminem. Doktor Mayreder - ach, prawda, doktor Mayreder nazywa się ten grubas - odstawił lampę na bok; to musiała być noc chyba albo wieczór, i rzekł:

- Pan profesor przyjechał specjalnie z Salzburga, żeby pana postawić na nogi, panie Hell. Więc bez obawy - pan wyjdzie z tej historii całkiem zdrowo...

Hell nie odczuwał żadnej obawy.

- O, tak - odrzekł, uśmiechając się. - Wyjdę cało z tej historii. Już właściwie wyszedłem. Skoro, list przyszedł...

- Masz rację, mój chłopcze - poklepał go po zdrowej ręce „dyrek”. - Tylko będziemy musieli pana trochę pokroić. Zgadza się pan? Pan nic nie będzie czuł. Nie będziemy zwlekali, nie będziemy robili długich korowodów, prawda?

Hell jakoś oprzytomniał na dźwięk słów „długie korowody”, ale nie dał żadnej odpowiedzi. Milczał przez długą chwilę i w ciągu tej jednej minuty rozjaśniło mu się w zamąconej głowie, naraz zdał sobie ze wszystkiego sprawę. W pokoju znajdowały się cztery osoby: profesor z Salzburga doktor Mayreder, siostra przełożona i jeszcze jedna zakonnica. Wszyscy czworo byli ubrani w białe fartuchy, mieli szeroko otwarte, przerażone oczy, jak ludzie, których rozbudzono Śród nocy do jakiejś odpowiedzialnej pracy.

Hell wszystko zrozumiał i pobladł.

- Chcecie panowie odjąć mi rękę? - spytał cicho.

- Po co zaraz myśleć o najgorszym? - zaprzeczył profesor nieszczerze. - Musimy troszkę pokrajać, musimy rzecz zbadać gruntownie. Zapewniam pana, że nie będziemy kroić ani trochę więcej niż potrzeba. Ale co trzeba usunąć, to trzeba - choćby to była i cała ręka. No, na razie nie martwmy się z góry. Mam nadzieję, że tak źle nie będzie!

Hell ułożył się płasko na poduszkach i przymknął oczy. Czuł się zmęczony, diablo zmęczony.

Wreszcie miał list... wreszcie miał pracę, pieniądze, szczęście, a May nad Zatoką Waikiki czekała na niego. Właśnie teraz tamci przychodzą tutaj i chcą mu amputować rękę, tę biedną chorą rękę, która zwisa z łóżka, jak czyjaś obca...

- Szkoda - rzekł Hell cicho i posłusznie. Na chwilę zerwał się w nim bunt.

Ten parszywy, zardzewiały gwóźdź... ten, psiakrew, zatracony zawód, który go skazał na dyskwalifikację!...

Zakonnica pochyliła się nad nim i odpięła mu guzik od koszuli, jak małemu dziecku. Spojrzała na jego obnażoną pierś i palce jej mimo woli zadrżały...

Ktoś tam manewrował strzykawką nad jego udem. Potem podniesiono go z łóżka i wyniesiono jak paczkę do białej sali, gdzie było chłodno i czysto. Pachniało eterem, chlorem, jodem, pachniało bliską i prawie przyjemną wonią chemii.

- Zapłacę panu dużo, dużo pieniędzy, panie doktorze, jeżeli się panu uda zachować moją rękę - odezwał się Hell, nadspodziewanie rozsądnie. - Jestem bardzo bogaty, mogę panu dużo, dużo zapłacić... Ale ręka mi jest potrzebna. Bo widzi pan, jestem sportowcem, a pływak bez ręki jest do luftu. I ja się chcę żenić, a nie będę mógł, jak mi panowie odejmiecie rękę. Więc bardzo, bardzo proszę!...

- Dobrze, niech pan mówi dalej - zachęcano go... i ktoś mu położył na twarz maskę przesyconą chloroformem.

Ostatnie słowa, jakie usłyszał, padły z ust profesora:

- Aparatura w tym szpitalu pochodzi chyba z siedemnastego wieku, moi panowie!... Potem Hell usnął. Spał przez kilka minut - tak mu się przynajmniej zdawało - spał bardzo głęboko i zbudził się niezupełnie. Budził się co pewien czas, jak przez mgłę patrzył wpółotwartymi oczyma i dusił się ogłuszony, jakby leżało na nim kilka poduszek. Aż wreszcie zaczęło mu się rozjaśniać przed oczyma, ciężar na piersi zelżał.

Hell usnął prawdziwym, krzepiącym snem i obudził się w jasnym słońcu, Które zalewało jego szpitalny pokój.

W okno zaglądały pędy dzikiego wina o liściach lekko przeciągniętych czerwonym połyskiem. W dali migotało szerokie jezioro, nad lasem unosił się biały szczyt, Żelazny Ząb, i nawet szmat prawdziwego, błękitnego nieba ukazywał się w ramie szpitalnego okna.

Hell czuł się dobrze - czuł się nawet bardzo, niezwykle dobrze.

Ostrożnie odwrócił głowę. Najbliższą istotą, jaką zobaczył, był śpiący na dywaniku przed łóżkiem pies.

- Tygrys! - szepnął wzruszony.

Przez okno wionął słodki powiew, w oddali zadzwonił dzwon kościelny. Ach, żeby się tylko nie rozmazać... - pomyślał Hell, całkiem już rozklejony. Tygrys czujnie machał ogonem. Obok na krześle ktoś się poruszył i ukazał w przydługim, białym fartuchu...

- Puk? - spytał Hell ciepło, pełen radosnego zdziwienia.

- No... lepiej ci? - i Puk położyła mu dłoń na czole, a potem na szyi, jak mała troskliwa mateczka.

- Nie masz gorączki! No, jesteś uratowany!

Hell zastanowił się. Wiedział, że minęło go coś złego i coś dobrego, ale nie wiedział, co było dobre, a co złe. Naraz poczuł przeszywający, ale zdrowy, prawie przyjemny ból w prawym ramieniu.

- Tak, teraz jestem uratowany - powiedział głośno i z namysłem. W głowie miał jasno, ale pusto.

- Przez cały czas byłeś przy mnie? - spytał z wdzięcznością.

- O nie... nie cały czas... byłyśmy na zmianę - odpowiedziała Puk.

Pogłaskała go nieśmiałym, trochę kanciastym ruchem po głowie i odsunęła zwisający jasny kosmyk z czoła.

- Deszcz nie pada? - spytał Hell, wdychając powietrze pachnące wodą, żywicą i ziołami.

- Skądże znowu! - uśmiechnęła się Puk.

Przez chwilę stała jeszcze obok niego, nie odejmując chłodnej ręki od jego włosów i patrząc pełnym oddania, ale spokojnym wzrokiem.

- Chodź Tygrysku, musimy już iść - rzekła.

Pies obudził się natychmiast i wyszedł razem z nią, nawet nie oglądając się na Hella.

Chory poczuł się trochę opuszczony. Leżał bezradny, znów ocknął się w nim ból i zbudziło drzemiące wrażenie, że o czymś ważnym, o czymś groźnym zapomniał.

Zielonożłota mucha wpadła przez okno i zabrzęczała mu tuż nad uchem. Trwało to tylko przez sekundę - uciekła tak jak przyfrunęła - ale Hell, zapatrzony w nią nie usłyszał jak drzwi się otworzyły.

Sądząc, że Puk jest jeszcze w pokoju, zapytał:

- Musisz mi powiedzieć, Puk, co się ze mną właściwie stało?... A May odpowiedziała:

- Nic się nie stało. Już wszystko dobrze. Tak, to May!...

Dziewczyna stała pośrodku pokoju, smukła, jasna, uśmiechnięta, także w białym fartuchu, ale dla niej fartuch nie był za długi...

Oczy jej lśniły, jak czarki ze złotej emalii.

Oczywiście nie płakała ani nie dała nic po sobie poznać. Usiadła na krawędzi łóżka z taką prostotą, jakby już dawno była jego żoną, tylko teraz zajrzała do chorego „chłopca”: jak się czuje?

Serce Hella tak waliło o żebra, jakby je miało rozsadzić.

- Jak to...?

Na więcej słów po prostu nie starczyło mu oddechu.

- Jak? Ot, zwyczajnie: ta mała baronówna zatelegrafowała do mnie, że chcą ci amputować rękę, więc wsiadłam w auto i przyjechałam. Trzysta czterdzieści kilometrów w siedem i pół godziny! ? I przez cały czas góry i wiraże! Jeszcześ się nie obudził z narkozy, a ja już tu byłam...

- Boże drogi!... - szepnął Hell i wyciągnął do niej rękę.

Obie ręce!...

Wyciągnął obie, całe, nietknięte ręce...

Co prawda jedna z nich tkwiła aż po palce w bandażu, a ból przeszył mu całe ciało od stóp do głów przy tym ruchu. Ale ta ręka była, żyła, przyrośnięta do ramienia, a ramię to należało do Hella...

Hell spojrzał na tę obolałą, opatuloną jak mumia rękę, potem spojrzał na May, a potem ostrożnie zaczął bębnić palcami po kołdrze. Wszystko było w porządku, wszystko funkcjonowało jak należy.

Strach go odleciał, odpadł z niego jak ciernista, obrzydła łupina.

- Przyjechałaś zaraz? Zaraz przyszłaś do mnie? A gdybym był kaleką, to także byś się na mnie zgodziła? - zadawał głupawe pytania i śmiał się pełen głupiej szczęśliwości.



- Pewnie. Ale wolę, że jest tak - odparła May sucho.

Za oknem zabrzmiała melodia - ulubione tango, grane na harmonijce. To Maks siedział przed bramą szpitala i grał na swoich organkach.

Słysząc było także szczekanie Tygrysa i śmiech Puk. Ale Hell nie słyszał głosu Puk. Hell słyszał i widział tylko siedzącą na jego łóżku May.

- Można cię pocałować? - spytała May i, nie czekając na odpowiedź, zaczęła to robić ostrożnie, delikatnie, ale nieprzerwanie.

- W podróż poślubną musimy jechać nad Waikiki - szeptał Hell.

- Choćby i na Księżyc! - odrzekła May, łapiąc z trudem oddech. - To przynajmniej będzie taniej...

- Kiedy ja jestem bogaty - odrzekł, znów po długiej pauzie, potrzebnej do zaczerpnięcia tchu w tym przerywanym dialogu.

- Jakie ty masz miłe, miłe ręce... - pogłaskała go po zdrowej dłoni. - Takich dużych łap jak ty nie ma nikt inny!... A koniuszki palców masz pomarszczone jak noworodek... i na dłoni takie bruzdy od wiosłowania, po cztery na każdej ręce... na każdym palcu pęczek jasnych włosów... Jakiś ty zabawny! I jakie masz zabawne, jakie kochane ręce!... Wciąż o nich myślałam, wciąż mi stały przed oczyma, i... - May przełknęła jakąś sentymentalną uwagę, ciągnęła dalej:

- Więc co? Jesteś podobno bogaty? Zgłosił się ten sławetny pan Meyer?

Przesunęła dłonią po białych bruzdach na czole Hella, które cokolwiek straciło ze swej czekoladowej barwy.

- A tak, odpisał - rzekł Hell, nie bez pychy.

May siedziała przez kilka chwil w milczeniu.

- Wiesz, że to trochę szkoda... - rzekła cicho. - Ty jesteś taki miły chłopak, Urban, taki miiiły! A jak będziesz miał

pieniądze i fabrykę, wtedy będziesz taki sam, jak inni! Będziesz? Jak myślisz?

Hell milczał niezdecydowany. Był trochę osłabiony po tylu emocjach, po takiej radości, po tylu pocałunkach...

I naraz zdawało mu się, że jest znów w hali maszyn... a potem w ogrodzie u Puk... potem, że siedzi w głębokim fotelu - poważny, opasły fabrykant. Pan Hell...

- Już nie ma drugiej strony jeziora - powiedział do opasłego Hella, siedzącego w fotelu. - Ale trzeba się pilnować, żeby nie zarosnąć tłuszczem. Nie zaprzestanę treningów. Najważniejsza rzecz, że jakoś jesteśmy uratowani... jakoś wybrnęliśmy! Choć końcowy start był niełatwy, o nie!...

- Majaczysz? Co to jest druga strona jeziora? - spytała May zatroskana.

Hell potrząsnął głową i rozejrzał się po pokoju. Szukał - choć sam nie zdawał sobie sprawy kogo.

- Szukasz czegoś? Czego chcesz? - spytała May.

Hell nie wiedział, że szuka Puk...

Patrzył uszczęśliwiony na May i milczał.

Doznawał dziwnego, zabawnego uczucia, które znał dobrze: uczucia głodu.

Jestem głodny - pomyślał i cieszył się tym, ale nie powiedział ani słowa May.

Bo o głodzie się nie mówi.

A i o sytości trzeba będzie nauczyć się mówić...

Tam, na jeziorze płynie łódź, a w łodzi siedzi Puk i wiosłuje, i śpiewa przy tym, tak jak śpiewają dzieci albo Murzyni, albo Chińczycy na swych dżonkach. Żelazny Ząb stoi za jej plecami, jak dobry brat na straży - jezioro jest drogim przyjacielem - a tam, na drugim brzegu czekają na nią siostry brzozy i pachnąca koniczyną łąka...

O tym wszystkim właśnie śpiewa Puk, jej piosenka jest cicha i wcale nie smutna. Piosenka jej jest krągła, rozkołysana

w powietrzu, wisi między wodą a niebem jak lśniąca, cierpliwa, zgrabna kuleczka, a słucha jej tylko młody, złoty pstrąg, który wypukłymi oczyma patrzy prosto w słońce i próbuje pyszczkiem schwytać ostatnie letnie muszki.